

DZIEJE IDEAŁU.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

XVII.

ALFRED DO NEREUSZA.

(Ciąg dalszy).

Wszystkie te szkaradne cyfry defilują przedemną jak wojsko przed komendantem, a ręczę ci, że wcale z nich zadowolony nie jestem. Starają się bowiem one mnie przekonać, że to nie jest prawdą, co głupi eskulap mówił, jakobym żył z kapitału życia, bo kapitału już wcale żadnego nie widzę, ale widzę tylko kredyt znakomity.

Pewien postępowy ekonomista, współpracownik „Figara” powiada, że marnotrawstwo ma swoją dobrą stronę. Jeśli bowiem, dajmy na to, ma ktoś kapitału sto tysięcy, i dosyć oszczędnie z tego kapitału żyje, to za pewien przeciąg czasu spotrzebuje ten kapitał, to jest przeżyje ni mniej ni więcej jak tylko sto tysięcy. Jeżeli zaś ja te sto tysięcy zamiast dzielić je homeopatycznie, w krótkim przeciągu czasu z wielkim efektem rozrzucę, to zarobię sobie niemi kredyt na drugie sto tysięcy. Spożytkowawszy więc należycie ten zarobiony kredyt, zrobiłem złoty interes. Mając bowiem sto tysięcy, wydałem w krótkim przeciągu czasu dwa kroć,

co znaczy, że mój kapitał zakładowy przyniósł mi w rezultacie przeszło sto procent.

Dajże mi więc sposób na to, aby kapitał lepiej się rentował. Marnotrawstwo jest wielką spekulacją, jakiej tylko płytkie rozumy ocenić nie potrafią. Nie jeden w pocie czoła je tylko barszcz z chlebem, podczas gdy my mamy zawsze w perspektywie pieczonego indyka z truflami i butelkę szampana!..

Podobny system obrotu kapitałów naśladową wszyscy, a nawet i mieszczaństwo bierze się do tego. Czyż nie tą samą drogą postępuje kupiec, który na urządzenie pysznego sklepu wyrzuci kilka kroć, a potem z kredytu tylko żyje. Wprawdzie jak u nas tak i u niego wyczerpuje się kredyt a koniec jest ten sam, dla niego jak i dla nas korzystny. Kredytorowie układają się, przyjmując od niego dziesięć za sto, a od nas, nic!

Ale to *nic*, jest zawsze dla nas, nie wygodne. Kupiec z tym przydomkiem daje sobie radę. Idzie za pomocnika do drugiego sklepu i rozpoczyna znowu na nowo swoją karierę. Dla nas to rzecz trudniejsza. Jesteśmy jak gracze w wyjątkowém położeniu i nie mamy się na czém odbić. Francuz na przykład ma lepszą szansę. Gdy straci ostatniego franka, może koronę i herb na karcie wizytowej i z prostym tylko nazwiskiem idzie w służbę. Wstępuje do wojska albo do kancelarii dyplomatycznej albo do departamentu kolonialnego. Markiz, hrabia, albo książę przebywa inkognito pierwsze stopnie. Znałem sam takich biédaków, a widząc ich bilety, pytałem dlaczego zmasali z nich swoje tytuły.

—To kosztuje za wiele— odpowiadali z uśmiechem.

Dopiero doszedłszy do ważniejszej posady wychodzą nagle w swoim dawnym blasku, i często nawet swoim najbliższym znajomym czynią tém najpociesznieszszą niespodziankę.

U nas zaś ma się rzecz odwrotnie. W charakterze naszym leży aby przynajmniej za granicą, dorabiać sobie na biletach korony i różne herby. Tradycja to dawna i jej trzymać się nam należy. Za to dajemy zagranicą wyobrażenie, że nasz naród składa się z samych oficerów, że szeregowców nie ma. A zagranica zato znowu kocha nas, że pobudzamy

kapitały do większego ruchu. Zdaje mi się, że wszelkie historyczne sympatyje dla nas mieszkańców z nad Sekwany odnoszą się do tych nie ocenionych przymiotów naszych...

Wyłożywszy ci tę najnowszą ekonomję społeczną, powiedziałem ci, co robi kupiec, gdy mozolnie zarobiony kredyt jego do zera dochodzi i powiedziałem ci także, co robi *markiz* lub *comta*, gdy kalendarz jego domowy również tę fatalną nulę mu okaże.

Zgadnijże teraz, co robi w takim razie nasz szlachcic czystej krwi, gdy również to fatalne kółko zobaczy?

Oto—żeni się!

Przy tém słowie „żeni się” nic nie dodaje, bo to jest niepotrzebném. Dzisiaj nikt tego słowa nie pojmuje inaczej. Żenić się, to znaczy, wziąć posag z żoną.

Parbleu! Jest to zawsze ważny krok w życiu, choćby tylko był krokiem, po pieniądze. Kandydat do takiego heroizmu nader zabawnie wygląda. Mielśmy tu niedawno przykład z pocziwego Tolka. Nie uwierzysz, i żal nam go było, i śmialiśmy się z niego do rozpuku. Kiedy już musiał z powodu fatalnego zera nasze wieczorki pożegnać, zaczął z nudów chodzić do kościoła św. Magdaleny i tam w „*chappelle des mariages*” przesiadywał całe godziny. Pewnego poranku ujrzał ślubną parę przystępującą do ołtarza. Panna młoda była kobietą w średnim wieku i dobrze zażywną. Pan młody zaś był to stary, suchotniczy starzec z długim nosem i obwisłymi ustami. Tylko skombinował że tu będzie jakieś spadkobierstwo dla niego. Dowiedział się o stanie majątku pana młodego i zaznajomił się z szczęśliwém stadem. Bankierowi wyrabiał różne interesa, namówił go na podróż do Pyreneów dla świeżego powietrza, i tam z całą troskliwością w przesłicznój okolicy z widokiem na morze, pochował. Sam zaś w kilka miesięcy w téj saméj *chappelle des mariages*” przysiągł półgębkiem zażywnéj jejmości miłość i wierność dożgonną...

Ha, cóż robić. Są sytuacje, w których nic innego zrobić nie można.

Wesele Tolka obchodziliśmy wesoło uroczystością jego pogrzebu. Kazaliśmy jeden „*cabinet separé*“ u Vacheta przyozdobić czarną krepą, a wśród pękających butelek śpie-

waliśmy żałosnym głosem psalmy pokutne... Biédny Tolko on umarł żywcem i pogrzebion jest na wieki!...

Wszystko to, mój drogi Nereuszu, dąży do tego, że i mnie ten los czeka!...

Przestrasza cię to, ale to jest prawda, smutna prawda. Głupie przysłowie mówi, że do czasu dzban wodę nosi.... Otóż nie wiesz, co gorsza, czy gdy się dzban stłucze, czy gdy się woda wyczerpie?

Jedno i drugie jest fatalne, a trzeba temu jakoś zapobiedz.

Już trzy listy pisała mi stryjenka moja, pani marszałkowska, że tam do Drezna, wyłącznie w tym celu, aby mój dzbanek się nie stłukł i wody nie zabrakło, przywiozła jakąś pocziwa ciocia z Ukrainy wcale nie szpetną i jeśli nie szpakami ale zato kukurydzą dobrze utuczoną szkatułeczkę, w której ma być gotówką parę kroć.... Pisze mi dalej stryjenka, że nieoceniona ciocia codziennie o mnie się pyta i wyraźnie pod sekretem jój wyznała, że na umyślnie dla mnie przywiozła z pod „Porohów“ ten klejnocik z nieoszacowaną oprawą.

Gdyby to można tę kosztowną oprawę bez tego klejnocika wziąć *brevi manu* w posiadanie, toby mniej było zachodu i mniej może powodów do następnych nieporozumień. Ale kiedy już tak stary obyczaj każe, to cóż robić, trzeba się i na to zgodzić. *Nollens volens* trzeba i o klejnociku pomyśleć.

Otóż w tym celu przysłała mi myśl napisać do ciebie i prosić cię w téj mierze o *bonnes-offices*. Mianuję cię więc moim ambasadorem, ale do czasu nie będziesz jeszcze wywieszał mojej bandery. Doniesiesz mi tylko, rozumię się z zachowaniem wszelkiej dyskrecyi, jak tam rzeczy stoją i jakiego rodzaju jest ten klejnocik, aby wrazie potrzeby stosowną dla niego przybrać pozę. Napisz mi, co w takim razie każdy kandydat do stanu matrymonialnego wiedzieć powinien. *Sapienti sat*, mądrej głowie dość dwie słowie.

A jeśli wszystko potem się złoży, to wyprawię wam taką stypę mego kawalerstwa, jakiej nikt nie widział i widzieć nie będzie świat i korona Burbońska. Zawsze twój.

P. S. Ukrainka ta nazywa się Jowita. Zkąd na Ukrainie zakwitło to pogańskie imię, tego wytłumaczyć sobie nie umiem. Opisz mi tę szacowną poganke!

XVIII.

Paryż, grudzień.

Szacowny ambasadorze! *Pas trop de zele* mawiał jakiś wielki człowiek, i bardzo prawdopodobnie, było mu z tém dobrze. Otóż i ty powinienes być wiedzieć o téj zasadzie. Ależ żeś nie wiedział, to stało się, że list twój zastał mnie w niemałym kłopotcie.

Przed tygodniem w dobraném towarzystwie wracałem z Alkazaru, gdzie właśnie *madame Kaiser* po raz pierwszy występowała. Nie będę ci opisywać owego wieczoru ani nawet nie zatrzymam się na czarnych oczach mulatki, która precudnie w śpiewie szepleni, ale odrazu zacznę od rzeczy.

Wracając z Alkazaru wstąpiliśmy do *Cafe riche*. Nie bywam tam nigdy, bo to nie nasza stacya. Jest to większej części miejsce schadzki giełdzystów, czy raczej tak zwanój kulisy. Zapewnie wiesz z jakich ludzi składa się kulisa. Jest to banda prostych rozbójników giełdowych. Gdyby pod inną formą rozbijali, wysłanoby naprzeciw nim kilka regimentów żandarmów. Dzisiaj toleruje się to, a nawet czasem nazywa się zręczném robieniem majątku.

Rozumie się samo przez się, że ludzie ci nie grzeszą zbytniém wykształceniem. Ponieważ odrazu przychodzą do wielkich fortun, więc chcąc świata użyć, wyrzucają pełnemi garściami pieniądze, tak że przy nich, nie ma co człowiek robić mający w kieszeni parę sto frankówek.

To téż zawsze zdala trzymałem się tego *café riche*, ale wtedy coś nas znęciło.

Przez kryształową szybę, oświeconą tysiącem płomyków gazowych obaczyliśmy prześliczną rusałkę....

Siedziała przy marmurowym stoliku i dumiała nad filiżanką czekolady. Miała główkę drobną rączką podpartą, na której błyszczały imitacye brylantów. Zbliżyłem się do niej.

Była piękna jak *Wenus*. Oczy czarne jak dwa pieprze pływały w białej emalii. Brwi, nieco podmalowane, wyglą-

dały jednak pysznie. Usta jak dwa korale. Cała twarz, jak prześliczna kunsztownie zakonserwowana emalia.

Było coś uroczego w jój całej postaci. Rozpatrzywszy się bliżej poznałem natychmiast, że to była jedna z tych piękności, które mają *gratis* filiżankę czekolady i szklanę wody za to, aby w malowniczej postawie za szybą kryształową pozowały. Na ulicy sprawia to efekt czarodziejski. Kawiarnia ubrana w same zwierciadła, szyby kryształowe, tysiące płomieni gazowych, a wśród tego czarodziejskiego tła rysuje się piękna czarodziejka, istny obraz Van-Dyka w ciemnych ramach nocy.

Mów co chcesz, ale tutaj umie się kobieta okazać.

Porównaj z tém czarodziejskiém oświetleniem naszą kobietę w spokojnym, łojową świeczką oświeconym dworku szlacheckim, gdy podzwaniając kluczami od spiżarni ociera ręce od krajania słoniny, i z lukrecyjnym uśmiechem zapowiada ci zrazy z kaszą na wiecezrę...

Ha, cóż robić... Twój list, kochany Nereuszu stawia mi także w perspektywie takie zrazy z kaszą... Powiadasz że Jowita nie jest szpetna i że ma jakieś podobieństwo do mulatki z Alkazaru. Więc jest ciemnej cery, niebieskich oczu i czarnych włosów. Jeżeli jak twierdzisz, babka jój była Włoszką, to będzie to typ włoski. Ale mniejsza o to. Ważniejsza sprawa z posagiem. Więc rzeczywiście będzie kilka kroć?...

Powiadasz dalej, że jest trochę dzika i że brak jój spokoju salonowego. To nie najlepsza rekomendacya. Kobiety podobne trudno tém zadowolić, co im salon dać może. A przyznasz sam, że w takim razie, jest się w wielkim ambarasie. Ale słuszną czynisz uwagę, że to z jój strony może być przemijające pozowanie na bohaterkę jakiego przeczytanego romansu. I słusznie powiadasz, że jój rogi wnet się przetrą.

Załużę bardzo, że nie mogę w téj chwili przyjechać do was. Sądzę, że zawsze na czas przyjadę. Tymczasem stryjence mojej dałem instrukcye, aby przygotowała pole. Napisz mi wkrótce.

XIX.

Paryż, grudzień.

Ręczę ci, przezacny Nereuszu, że takiej kobiety, jaką jest Celestyna nie ma drugiej na świecie.

A wiesz kto jest ta *mlle. Celestine*? Owa czarodziejka z *café riche*!

Jesteśmy w wielkiej przyjaźni z sobą. Jadamy codziennie u Vacheta w *entre-solu*, a wszyscy znajomi zazdroszą mi tego znakomitego zwyczajstwa.

Ma to szczęście wprowadzić swoją stronę odwrotną. Niebianka moja kosztuje mnie szalone pieniądze. Nazywam ją „kruczką” bo tak jak kruk lubi wszystko co błyszczy. Zabrała mi wszystkie moje szpilki dyamentowe, zabiera mi nawet złoto *in natura*, bez żadnej wartości artystycznej jak np. napoleondory, a nawet i błękitne sto frankówki mają dla niej powab nie zwyciężony. A na koronę tego wszystkiego u Vacheta ję za trzy i pije za drugie tyle, wybierając rozumie się co najlepszego i najdroższego!...

Ale za to wolno mi patrzeć w te czarne pływające w białej emalii żrenice, mam na zawołanie ten uśmiech czarodziejski tych ust koralowych, bo potrzebuję tylko coś błyszczącego okazać... mam jęj dowcip tryskający jak wino szampańskie i tę nieokreśloną niczem, nieujętą w żadną książkę ani przepis—sztukę podobania się, sztukę zużytkowania ku naszej zabawie wszystkich wdzięków, zacząwszy od mikroskopijnego bucika a skończywszy na pieprzyku nad okiem.

Nie sztuka to naszym zacnym stryjenkom pisać nam kazania i egzorty przeciw temu, o czém one nigdy wyobrażenia nie miały!... To właściwie można poznać, czém może być kobieta!

Smutno, bardzo smutno jest mi, gdy mi na myśl przyjdzie, że kogós może kiedyś porównywać będą z niezapomnianą Celestyną!... Widzę najprzód, że ten ktoś bardzo źle wyjdzie na tém porównaniu!

Być ładną, piękną, a nawet rozumną, to jeszcze nie jest dosyć. To jest dopiero zakładowy kapitał, z którego dopiero coś zrobić można, jak powiada ekonomista z Figara.

Celestyna to cudowna kobieta!

Pisze mi stryjenka, że towarzystwo takie czyni mi ujmę. Pytam się ciebie, jaka jest różnica między Mlle Celestine a najzacniejszą naszą panną, która dla majątku idzie za mąż? Celestyna sprzedaje pojedynczo każdorazowy swój uśmiech, swoje spojrzenie i dowcipiek malujący, a tamtęj ryczałem z góry zapłacono!

Z tego com ci napisał, nie wezmiesz mi za złe, jeśli tak prędko do was nie przyjadę. Wierzę w moją dobrą gwiazdę. Nigdy jeszcze w życiu nie spóźniłem się. Zdaje mi się nawet, gdybym za dnia miał jeszcze gdzie stanąć, a na to dnia jużby nie wystarczyło, toby słońce z grzecznością zatrzymało się na niebie, a księżyc nie wylazłby z pod ziemi!..

Dobra wiara wiele znaczy w życiu.

Ale mimo to, gdybyś spostrzegł jakie niebezpieczeństwo, to niezawadzi mnie ostrzedz o tém. Jestem w téj mierze podobnego zdania, co ambasador pruski na dworze perskim. Złożył on władcy Persyi w podarunku uzbrojenie kirasyera pruskiego wraz z karabinem iglicowym.

— Na co ta blacha żelazna?—zapytał prawowierny władzca.

— To kirys, na piersi, aby kula nie przeszła—pokornie odpowiada ambasador.

— Więc dobrze, spróbujemy zaraz—rzecze namiestnik proroka—każ służącemu wziąć kirys.

Służący zbladł.

— Czemuż błednie ten głupiec?—pyta rozgniewany władzca.

— Bo czasami może kula przebić tę blachę!—nieśmiało odpowiedział poseł.

Dorób sobie sam do tego sens moralny i bądź zdrów, bo Celestyna czeka na mnie w cafe riche!

XX.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Drezno, 5 stycznia.

Drogi przyjacielu! Długo namyślałem się, nim list niniejszy do ciebie pisać zacząłem. Dotąd w listach naszych

rozbieraliśmy różne kwestye sztuki. Mamże teraz w zakres tych listów wciągnąć i więcej nizeli przyjazne zwierzenia się? Po długim namyśle przychodzę do tego przekonania, że to koniecznie uczynić muszę. Widzę, że człowieka pracującego duchem nie można podzielić na dwie części: na człowieka prywatnego i publicznego. Minister może być w biurze swoim ministrem. a w domu u siebie, w gronie rodziny, prywatnym człowiekiem. To samo może uczynić żołnierz, kupiec a nawet rzemieślnik. Nie może tylko tego uczynić poeta ani artysta!

U jednego jak u drugiego wszystko zależy do sztuki lub umiejętności. Wszystkie jego myśli, marzenia, całe życie są własnością ogółu, któremu służy. A ogół ten jest często tak okrutny, że każe mu zdawać rachunek z każdego uderzenia serca, z każdego na wiatr rzuconego westchnienia! I znajdują się oprawcy, którzy wołają, dlaczego to serce teraz słabiej bije, kiedy ongi biło żywiej... dlaczego głos ten jest mniej donośnym, nizeli był za lepszych czasów!...

To też nieobojętném powinno być pocie lub artyście to wszystko, co jego serce porusza, i co piersi jego głęboko wzdychać każe. Nie jest to prywatną częścią jego życia, bo to odbija się w następnych jego twórcach. Mimowoli i mimochęci przechodzi to zwolna na płótno lub na papier, chociażby nawet świat nie poznał!

Dlatego też i ja, drogi mój przyjacielu, nie mogę mieć żadnych tajemnic przed tobą, bo wszystkie moje tajemnice tak ściśle są z moją sztuką związane, że ich od siebie odłączyć nie można!

Posłuchaj więc cierpliwie mego wyznania.

Od ostatniego listu mego czułem się nieszczęśliwym i strasznie przygnębionym. Jakiś dziwny przeczućm wiedziony czekałem pociechy z dnia na dzień, od tygodnia do tygodnia. Tymczasem upływały dnie i tygodnie, a w duszy mojej było tak straszno i smutno, że sam siebie obawiał!

Nie ma nic okropniejszego, jak wśród jakiegoś zawodu, nagle zwątpienie w siły swoje.

Takie właśnie zwątpienie męczyło mnie od niejakiego czasu.

Powyrzucałem wszystkie moje szkice do rozleglejszych kompozytów. Chciałem wkoło siebie stworzyć pustynię, próżnię, jaka właśnie panowała w duszy mojej. Chciałem wszystkie władze mego ducha położyć na niejaki czas odłożeniem w nadziei, że może coś lepszego urodzi się na roli świeżej i wypoczywaniej.

Ale daremnie oczekiwałem nowych owoców. Jakaś dziwna posucha ośwładnęła mój umysł. Zacząłem zupełnie już wątpić o sobie. Straszne, okropne jest to uczucie.

Jest to rzeczą znaną, że myśli i uczuć, które dłuższy czas pieściliśmy w głębi duszy, nie można pozbyć się od razu. Podobnie do rozruszanej struny, brzmia one jeszcze czas niejaki, chociaż téj struny ręka już więcej nie porusza. Wtedy słuchamy mimowoli tego dźwięku, chociaż go słyszeć wcale nie pragniemy.

Tak też stało się i z moją wyobraźnią. Wyrzuciłem z niej wszystkie plany i projekty do nowych kompozytów tak samo jak z mego pokoju na strych powynosiłem niezdarne szkice i kartony, aby mi złego humoru mego nie zwiększały. I zdawało mi się, że jak wszystko wkoło siebie uprzątnąłem, tak samo i w wyobraźni mojej zmazałem.

Dziwnym wydał mi się ten nowy porządek u mnie. Nie wiedziałem, że wkoło siebie i w duszy mojej zrobiłem to samo, co robi każdy przezorny gospodarz, który oczekuje upragnionego gościa. Skrzętnie wyprąta wszystkie kąty, wyrzuca niepotrzebne rupiecia, ściera i myje pozostałe brudy, aby gościa swego uczyć jak należy, i okazać mu, jak wielce go pragnął i wysoko ocenił.

Zdaje się że to samo i ja mimowolnie uczyniłem. Czy przeczuwałem nowego gościa?...

Mimoto wszystko brzęczały jeszcze w wyobraźni niektóre pozostałości.

Najuporczywiej prześladowała mnie myśl do jednego obrazu. Wiesz już, że całą duszą utonął w czasach pierwszego chrześcijaństwa. Jest to skutek mego pobytu w Rzymie i częstych odwiedzin katakumbów. Otóż myśl tego obrazu odnosiła się do tych czasów.

Chciałem przedstawić sądy na pierwszych wyznawców Chrystusa. Przed sędzią pogańskim stoi niewiasta-chrześcianka. Z różnych akcesoryj widać, że wymaga od niej

wyznania, czy jest rzeczywiście wiary Chrystusowej. Jest to moment który rozstrzyga o jój życiu. Postawa jój i wyraz twarzy ma oznaczać, że ona w duchu już dawno tę kwestyą rozstrzygnęła i teraz tylko wygłasza ustami to straszne słowo, które zarazem jest dla niej wyrokiem śmierci!

Wyobrazisz sobie, że cała trudność tego obrazu zależy na tém, aby ta niewiasta, w której fałdy chowają się z trwogą małe dziatki, całą swoją postawą i twarzą mogła tę myśl wyrazić!...

Napróżno od kilku miesięcy szukałem modelu, któryby mógł choć w części zbliżyć się do téj postaci, jaka mi przed oczyma duszy pozowała. Nie było jój nigdzie. Wszystko to co widziałem, było poziome, powszednie. Jedna z nich nie okazałaby tego spokoju, téj wspaniałej duszy, téj królewskiej postawy w takiéj chwili życia! W najlepszym razie stworzyłbym z takich materyałów coś teatralnego, z jakąś głową podniesioną do góry, czoło okrutnie zmarszczone i pierś zaciśniętą! Na scenie prowincjonalnej może to wystarczyć, ale obraz taki nie przemówi!

Otóż między innemi rupieciami wyrzuciłem i tę myśl, ale jakoś uporczywie zawsze wracała do mnie.

Za każdym krokiem oglądałem się, bo zdawało mi się że idąca ku mnie kobieta może właśnie być tém, czego od mego wymarzonego modelu oczekiwałem. Ale zawsze i wszędzie to samo rozczarowanie....

Dzisiaj był ranek nader przyjemny. Jakkolwiek mróz trzymał jeszcze wszystko w swojem żelaznem ujęciu, słońce jednak świeciło dosyć ciepło. W powietrzu była cisza a niebo miało tylko jeden, błękitny kolor.

Koło południa wyszedłem na „terasę brülowską.” Zastałem tam wielu ludzi przechadzających się.

Lubię niezmiernie widok z téj terasy. Nawet w zimie ma ten widok coś uroczego. Pochyła przestrzeń Elby świecąca sinym, zimnym kolorytem lodu stanowiła przepyszny przód tego wspaniałego obrazu. Po lewéj ręce przecinały tu jednostajną przestrzeń regularne łuki starego mostu, za którym w niewielkiej oddali nieco, już za siną mgłą stały znowu w drugim szeregu kamienne arkady nowego mostu, po którym właśnie lotem strzały o napuszonych piórach z pary, pędziła lokomotywa.

Nic tak nie ozdabia saméj natury, jak pojawiające się na jéj tle linie architektoniczne. Najromantyczniejsza okolica nie przewówi do nas tym językiem, jakim przemawia natura połączona z sztuką. Widzimy bowiem na niéj ślad i panowanie człowieka.

Tą myślą właśnie natchnęły mnie te prześliczne arkady tych dwóch kamiennych mostów, rysujących się na przezroczystém tle olbrzymiej rzeki....

Stałem długo przy murze terasy i patrzałem na ten widok precudny, oświecony szczególnie światłem zimowém.

Lekki szmer sukni oznajmił mi, że nie sam jeden podziwiam roztaczający się obraz....

Spojrzałem na moją sąsiadkę....

Nie śmiej się ze mnie, gdy ci powiem, że doznałem tak dziwnego uczucia, o jakim nie miałem wyobrażenia.

Radość nieopisana napełniła serce moje. Zdawało mi się, że nagle znalazł to, czegom tak długo, z taką tęsknotą szukałem, że sam Bóg przysłał mi ją tak blisko, tak blisko, iż mogłem słyszeć jéj oddech....

Zapytasz mnie zapewne z uśmiechem, co właściwie znalazłem, i czego tak długo z tęsknotą szukałem?

Oczywiście.... modelu szukałem i... model mój znalazłem!

Wyobraź sobie postać dosyć słuszną, odzianą jakąś fałdzistą, niezwykłą szatą. Postawa prosta, ramiona w tył wdzięcznie podane znamionują silną wolę i charakter niezwykły. A kiedy zgrabnym ruchem ręki twarz swoją odsłoniła, jakby odgadła, że na nią z ciekawością patrzę, obaczyłem najprzód prześliczne, dziwnie wypukłe czoło takiego samego kształtu jak to widzimy w Rzymie na Kapitolu u Jowisza. Cera twarzy jest śniada i ma woń południa. Dodaj do tego oczy jasno szafirowe i wszystkie rysy nader harmonijne, a będziesz miał przed oczyma mój.... model, jakiego, powtarzam, tak długo i z taką tęsknotą szukałem!

A wiesz jaką jeszcze cnotę tajemną posiadał ten mój model? Oto zimę wkoło mnie zmienił nagle w skwarne, piekące lato!

Gdym bowiem spojrzał potem na zimowy krajobraz, widziałem go w takiém świetle, jakie tylko nadać mu może słońce lipcowe!....

O t m s oncu.... czy racz j modelu p zniej mo e wi cej co powiem.

Godzina pierwsza po p łnocy.

XXI.

6 stycznia.

W t j chwili dostaj  list bardzo smutny.

Dziwnie to si  miesza w  yciu ludzkim. Zaledwie pogodniejszy promie  z nieba spadnie, ju  razem z nim spada na nas umartwienie. By  mo e  e dlatego niebo nam si  u miechnie, aby niejako ul y  nam w nadchodz cej bole ci! Czy  szcz cie na ziemi nie mo e by  bez  adnej przymieszki t j kwa nej potrawy?....

Zaledwie oczy otworzy em, a otworzy em je aby na jawie  ni  dalej  odko o wczoraj em zdarzeniu, kiedy s u acy odda  mi list ze stampil  szwajcarsk .

Wyobra  sobie moje wielkie zmartwienie! Z listu tego dowiaduj  si ,  e brat m j  miertelnie ranny w pojedynku i  e le y w szpitalu ma ego miasteczka, bez  adnej pomocy, bez  adnych  rodk w.

Historia pojedynku jest nader brudna. Martwi mnie wi cej ni eli sam pojedynek i jego skutki.

Przyja n twoja wk ada na mnie obowi zek, abym i to moje zmartwienie przed tob  wypowiedzia .

Brata mego pozna es w Homburgu. Zdaje mi si ,  e ju  go dosy  sam sobie scharakteryzowa es z tego co widzia es. Nale y on do rz du tych ludzi, kt rzy nie mog  poja  tego,  e cz wiek ka dy rzetelnie pracowa  powinien, je li za w asne swoje fundusze nie mo e by  pr zniakiem.

Jakkolwiek ojciec nasz znaczny posiada  maj tek, jednak (nie oskar am nikogo) zbiegiem r żnych wypadk w i katastrof, zostali my obaj prawie bez funduszy, kt reby nam na d u szy czas  ycie bezczynne zabezpieczy  mog y. Wac aw poszed  utart  u nas drog , jak  id  zazwyczaj ludzie nam podobni. Ma   schedk  jaka nam si  zosta a, wzi   do kieszeni i poszed  z ni  szcz cia szuka . Ubra  si  wykwintnie, kupi   adne koniki i obj  d a  kolej  znajomych i niezajomych. Zamiarem jego by  o eni  si  dla

posagu. Nie szczęściło mu się jednak w tych zamysłach. Psotny bożek, który dawniej z taką łatwością przesywał serduszka posażnych panien, teraz gdzieś się schował i dowołać go się nie można. Wacław nie był szczęśliwszym od innych. Poznał że bajka o złotym deszczu Jowisza wielką ma prawdę. Zresztą dla koników zabrakło owsa, dla „Żorża” strawnego. Robić co nie wypadało, więc zaczął bawić się „w niedrogie partyjki.” I tak powoli i powoli, tentując fortuny zaszedł aż tam, gdzie go poznałeś.

W Homburgu z różnym szczęściem próbował rulety. Ruleta nie dopisała mu. Ułowił jakiegoś Podolaka i wmówił w niego, że długiem studjowaniem rulety doszedł do pewnych rezultatów nader ważnych. Podolak poszedł na lep, dał mu sumkę swoją, która w krótkim czasie przeszła do banku.

Aby sobie na nowe stawki coś zarobić, zebrał kółko znajomych i zaproponował im gry prywatne jako wygodniejsze i mniej kosztujące od rulety. Znajomi przystali na propozycją, a Wacław umiał w hotelu wyłudzić pyszne pomieszkowanie i otworzył dosyć kosztowne wieczory.

Wieczorki były dosyć liczne a gra szła wysoko. Dla ożywienia téj zabawy przyjęto także w towarzystwo kilka dam, które również próbowały w grze szczęścia.

Ale wkrótce zaszło wielkie zamieszanie w tém cichém patryarchalném kółku. Jednej z dam skradziono brylanty. Obrzucano się wzajemnie podejrzeniami, jeden na drugiego patrzył jakby o kradzież posądzał. Trwało to czas dosyć długi, a że żadny z nich dowodów jasných zebrać nie można było, poszedł więc ten wypadek w zapomnienie, a gra znowu weszła w dawne karby.

Pisałem list do listem do Wacława, aby się opamiętał, i na uczciwą drogę nawrócił, ale wszystko daremnie! Przeciwnie, wyszydzał mnie mówiąc, że nie on mnie, ale ja jemu wstyd robię, zostawszy malarzem!

Nieszczęście chciało, że słowa moje strasznie się teraz ziściły. Towarzysze gry schwyтали Wacława na grze fałszywej!

Zrobił się krzyk i hałas i wszyscy jednogłośnie oskarżyli go teraz o kradzież brylantów!

Z tego wywiązał się nieszczęśliwy pojedynek. Wyjechali do Szwajcaryi i tam się strzelano. Wacław dostał kulą w ramię.

Cóż mi teraz pozostaje do czynienia?

Brata muszę ratować, jakkolwiek jest powód tego pojedynku. Być może, że ta krwawa katastrofa wyleczy go z choroby ducha, jeżeli tylko ciało da się wyleczyć.

Wielka jednak trudność zachodziła, zkąd wziąć potrzebny fundusz na drogę. Nie opływam wcale w zbytku, a to co mam, wystarcza mi zaledwie na bardzo skromne życie.

Ale przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy. Poznałem przed kilkoma tygodniami zacnego ziomka z Ukrainy, który tu z chorą żoną przyjechał. Jest to człowiek majątny.

Z niewypowiedzianym wstydem poszedłem do niego i zaproponowałem mu, aby nabył odemnie kopię Rembrandta, nad którą cały miesiąc pracowałem, za 60 talarów.

Zacny człowiek nie spierał się ze mną, obejrzał obraz i zapłacił. Trzydzieści talarów posłałem natychmiast choremu bratu, a drugie trzydzieści przeznaczyłem na podróż.

Jutro jadę do Szwajcaryi. Smutny ten wypadek ma tyle tylko dla mnie pociesającego, że sztuka moja przydała się przynajmniej na to, aby spełnić uczynek miłosierdzia, czy raczej obowiązku.

Zemną wystrojony najponętniejszymi farbami wyobraźni, pojedzie także mój model. Będę miał czas myśleć i marzyć o nim, i z wolna z nim się zaprzyjaźnić.

Często w życiu wydarza się, że podobna przerwa między marzeniem a rzeczywistością, jest jedynem szczęściem naszym!

Czy model mój, o którym marzę, nie nie straci, gdy go ujrzę w rzeczywistości?....

XXII.

JOWITA DO SALOMEL.

Styczeń, — Drezno.

Rok nowy zaczęłam w dziwném usposobieniu. Owo lekceważenie jutra, którego zazdrościli mi jedni, a drudzy

nie chcieli policzyć do dobrych przymiotów moich, odstąpiło mnie zupełnie. Czuję się jakoś do gruntu zmienioną, i zastanawiam się nad powodem tak nagłej zmiany.

W kilku ubiegłych dniach ostatnich nie widzę żadnego powodu téj dziwnej zmiany. Na jedném tylko zdarzeniu (jeśli zdarzeniem to nazwać mogę) utyka pamięć moja. Jest w tém zapewne coś prawdy, bo na samo wspomnienie rumienię się, jakbym Bóg wie co zgrzeszyła!

A zgadnij droga Salciu, do czego odnosi się ten mój dziewiczy rumieniec?

Widzę, jak uśmiechasz się złośliwie i myślisz sobie: Rumieniec u dwudziestoletniej panny ma zawsze jedną i tą samą przyczynę!.... *Eh bien, coment i apellat-il?*

Ale mylisz się. Nikogo nie znam, czyje wspomnienie mogłoby ten rumieniec na moją twarz wywoływać. Rumieniec mój tyczy się poprostu owéj dziwacznej wizyi, którą ci opisałam w ostatnim liście!

Wierzaj mi, w braku innych wydarzeń, zaczynam ową wizyę uważać za istotne wydarzenie, uważam się niejako za związaną, a pocałunek ów... nie da się już z ust moich niczem zmyać!

Śmieję się ze mnie do woli i ja sama w weselszych chwilach śmieję się z siebie, ale to wcale rzeczy nie zmienia. W téj chwili np.... gdy właśnie te słowa piszę, jestem jak szkarłat czerwona.... Sama myśl napędza mi krew do twarzy i przyśpiesza bicie serca, jakby istotnie on stał przedemną!....

I nie wiem jakim prawem to się dzieje, ale owo marzenie, ów sen czy wizyą uważam za fakt spełniony, który wkłada na mnie (nader przyjemne) obowiązki. Postać tę, która wtedy narysowała się nie wyraźnie na białém tle firanki, widzę ciągle przed oczyma. Powoli uzupełniam jéj rysunek, chociaż sama postawa nie zmienia się nigdy. Zawsze wyobraża on człowieka idącego na jakąś wyniosłość, walczącego z napierającą burzą. W twarzy jego widzę coraz wyraźniej jakieś wyższe natchnienie, ale jak wygląda, tego jeszcze nie widzę i w żaden sposób opisać ci nie mogę.

Nieustannie wracam myślą do tego obrazu i przyznam ci się, wracam z prawdziwą rozkoszą. A wtedy twarz mi

się rumieni, usta pałają dziwnym ogniem... i czuję jakieś pragnienie niewysłowione!

Ciocia nawet już z trwogą patrzy na mnie. Pyta mnie, czym nie chora i co mi jest? Uspokajam ją uśmiechem, a niekiedy rzucam się zamiast odpowiedzi z takim impetem na szyję, że o mało co jęj memi uściskami, a sama siebie płaczem nie uduszę! A przecież płacz ten jest dla mnie dziwną rozkoszą!...

A gdy mnie świat z tych moich urojeń zbudzi, jestem dla niego zimną i obojętną, jak kobiéta, która już życiem swoim rozporządziła. Wszystko co ją otacza jest już dla niej obojętném!

Czy długo potrwa ta dziwna gra mojęj wyobraźni? Czy długo pozostanie dla mnie to, co mnie otacza, obojętném?

Kochaj mnie droga Salciu, bo ja dzisiaj więcej niżeli kiedykolwiek tego uczucia potrzebuję!

XXIII.

Styczeń.

Nie mogę się czegoś uspokoić, i muszę znowu do ciebie pisać. Dziwny mój niepokój ma jeszcze dziwniejszą побudkę.

W liście, w którym opisałam ci całe miasto i różne przyjemności moje, pisałam także o naszych znajomych. Między innymi pani marszałkowa należy prawie do codziennego naszego towarzystwa. Mianowicie z ciocią bardzo się kochają i mnie przy tém coś także z tego afektu się okroi.

Jest to bardzo poważna i zacna matrona. Główną cechą jęj charakteru jest prawość, chociaż tylko w pewnych granicach. Jestto osoba dawnego autoramentu. Nieznajomego pyta najprzód o jego genealogię, i według tego daje mu miejsce w swoim salonie. Miejsca jednak nie odmawia nikomu, ale tak zręcznie umie się z każdym obejść, że sam nie wie, jak i kiedy stanie lub siądzie na wyznaczoném sobie miejscu.

Z tego względu podziwiać należy jęj spryt i sztukę w obchodzeniu się z ludźmi. Zdaje się, że talent ten prze-

szedł na nią tytułem sukcesyi i nieprzerwaną tradycją znakomitego w dziejach naszych rodu.

Nie łatwą to bowiem było rzeczą zaprowadzić należyty porządek w takim np. domu, jakim był dom Radziwiłłów, Potockich i innych. Tysiące szlachty, potrzebnej do prywatnych widoków, potrzeba było podejmować i sownie ugaścić. W takiej liczbie byli ludzie znakomici z rodu, zasługi i pozycyi, a byli i tacy którzy tylko jedną liczbę w sumie potrzebnej stanowili. A jak to się zazwyczaj zdarza, pretensye i uroszczenia tych ostatnich były częstokroć większe od wymagań pierwszych. Wszystko to jednak umiano pogodzić tak, że każdy był kontent i z gospodarza i z swego sąsiedztwa.

Zdaje mi się, że dzisiaj ta sztuka poszła w poniewierkę. Dzisiaj trudno skromny wieczorek zebrać, aby ktoś nie czuł się obrażonym, nie należycie uwzględnionym.

Salon pani marszałkowej mieści w sobie często najróżnorodniejsze żywioły a wszystkim jakoś obok siebie jest swobodnie, jakby się między swymi znajdowali.

Otóż przed wczoraj przypadał wieczór u pani marszałkowej. Nad wieczorem przyszedł do nas jej służący i oznajmił nam, że wszyscy goście są odproszeni, bo pani marszałkowa zasłała i w łóżku położyć się musiała. Mimo to wyłącznie tylko ciocię i mnie przyjąć może.

Udałyśmy się natychmiast do niej. Pani marszałkowa była nadzwyczaj z tego ucieszona. Podziękowała serdecznie cioci za jej troskliwość, a mnie gorąco uściskała. Patrzała czas niejaki na mnie, a potem rzekła:

— Usiądź Jociu bliżej mnie, niech się nasycę twoim widokiem. Gdy patrzę w oczy twoje, to zdaje mi się że pięćdziesiąt lat z wieku mego tracę i widzę przed sobą Alinę, moją bratową. Ten sam blask oczu, ten sam uśmiech lekką ironią zaprawiony. Ironia, dziecię moje, to kwiat bólu i gorzkich doświadczeń. Czemuż w tych młodych latach miesza się ona do twego uśmiechu?

Słowa te rozrzewniły mnie. Nie wiem czy pani marszałkowa odgadła w tej chwili co mnie rozrzewnia.... Myślałam o tej dziwniej wizyi mojej....

Pani Marszałkowa patrzała na mnie długi czas z uwagą, a pocałowała mnie w czoło rzekła:

— Nie odmówisz mi dziecię moje, jednej prośby. Siły moje jakoś opuszczają mnie. Gdy jesteś koło mnie, gdy patrzę na ciebie, i sama siebie łudzę, że Alinę widzę, to zdaje mi się, że jestem zdrowszą, że młodszą. Jeżeli więc jutro czem ważniejszym zajętą nie będziesz, to przyjdź do mnie we dnie, przyjdź na cały dzień. Możesz sobie co czytać, a ja będę także słuchała, możesz grać a jeśli chcesz możesz i długie listy swoje do przyjaciółek pisać, a ja będę się tylko patrzeć na ciebie!

Prośbie tej nie mogłam odmówić. Żal mi było starszki, ona widocznie kocha mnie. Przrzekłam uczynić zadość jej żądaniu, za co prawie ze łzami ścisnęła mnie serdecznie za rękę.

Bawiłyśmy u niej do późnej nocy. Oglądałam jej różne albumy, a ona tłumaczyła mi różne rodzinne pamiątki i nazywała po imieniu znajdujące się w nich portrety. Potem przypatrywałam się obrazom, które wisały w sypialni jej komnacie.

Miedzy innemi zwróciła jedna, niewielka akwarella moją szczególną uwagę. Przy bliższem wpatrzeniu się budził we mnie ten obraz jakieś przykre uczucie. Wyobrażał młodego mężczyznę w stroju myśliwskim ze strzelbą przy oku. Mierzył pomiędzy szuware do dzikiej kaczki, która właśnie piskłęta swoje karmiła.

Przyznasz kochana Salciu, że trzeba być strasznie zapalonym myśliwym, aby w takiej chwili zabijać matkę biednym pisklątom, a trzeba nie mieć najmniejszego pojęcia o pięknie w sztuce, aby podobny moment utrwalić w obrazie! Prawdziwie, jest w tem coś barbarzyńskiego!

Pragnę o tem pomówić z jakim znakomitym artystą, czy nie zgodzi się ze mną!

— To portret—ozwała się pani marszałkowa—malowany przed dziesięciu laty.

— Portret!—zawołałam z goryczą—a cóż to za myśl szczególna, aby podobny moment w życiu wybrać do obrazu! Czyż ten zacny człowiek nie miał już innych lepszych chwil w życiu? .

Zdaje się, że te niebacznie wymówione słowa moje nie bardzo podobały się pani marszałkowej. Zmarszczyła nieco czoło, chociaż na ustach miała uśmiech przychylny.

— Nie sądź tak ostro moje dziecię—rzekła po chwili—wszak widzisz, że to chłopiec kilkonastoletni!

— Jociu—ozwała się ciocia gniewnie—ty zawsze jesteś roztargniona!

Głos cioci i wyraz twarzy pani marszałkowej dały mi wyraźnie do mniemania, że się pośpieszyła ze zdaniem mojem, które mocno drasnęło serce staruszki.

— Może to jój syn, który nie żyje?—pomyślałam sobie—a ja tak niebacznie i niepochlebnie wspomniałam o nim?

Pani marszałkowa i ciocia przeszły na inny przedmiot, a ja nie miałam odwagi, żądać od nich jakiegoś wyjaśnienia. Przez cały czas nie mogłyśmy wrócić do dawnego naszego nastroju. Coś zawadzało nam ustawicznie do dobrego humoru. Nawet wyszedłszy od pani marszałkowej nie zapytałam się cioci o ten portret, bo już nie chciałam drażnić jój na nowo przypomnieniem mojej porywczosci.

Przyszedłszy jednak do domu, gniewałam się sama na siebie a nawet płakałam.

A gdy księżyc do mego pokoju po północy zaświecił, spojrzałam z jakąś dziwną tęsknotą na arabeski białej firanki... ale tam w tej chwili nic nie obaczyłam!

Jakie to dziwne, prawie nic nieznaczące wydarzenia poruszają sercem kobiecém i mącą jego pokój!

Pisz do mnie, pisz prędko, bo obawiam się, aby ten mój niepokój ciebie się nie tyczył!

XXIV.

Styczeń.

Droga Salciu! Twoje listy są prawdziwą rozkoszą dla mnie. Nie wiem, czy ty o moich to samo powiedzieć możesz. W najlepszym razie nie zdążysz na nie odpisywać. To mnie jednak nie wstrzymuje od wypowiedzenia ci wszystkich moich myśli i uczuć, które teraz coraz częściej moje serce nachodzą.

Wczoraj od samego rana byłam u marszałkowej. Biedna staruszka jest mocno cierpiącą. Siły opuszczają ją coraz więcej. Mimo to ma zupełną przytomność umysłu,

co tём dziwniejsze sprawia na mnie wrażenie. Widzi jasno przed sobą, a cóż przed nią jeszcze być może jeżeli nie grób?....

Słabość z zupełną przytomnością ducha jest według mnie straszna. Lepsze w takim razie jest jakieś zamącenie głowy i wzroku. Widzisz jak dziwne myśli przychodzą mi do głowy. Jednej rzeczy najbardziej się lękam: być nieszczęśliwą i jasno widzieć przed sobą! W nieszczęściu, jak w chorobie lepiej jest łudzić się, a okropnie, widzieć jasno, a nie widzieć żadnego ratunku!...

Pani marszałkowa mówi nader trzeźwo. Uśmiecha się nawet często gdy widzi łzy w moich oczach. Nie chce widocznie widzieć mnie smutną. Powiada, że wtedy wcale nie jestem podobną do Aliny....

Rozrywałam staruszkę i siebie jak mogłam przez cały dzień. Mówiłam jęj wiele o galeryi obrazów i widziałam, że z zajęciem mnie słuchała. O jęj obrazach i albumach nie wspomniałam ani słowa, aby nieprzypomnieć jęj wczorajszej nieprzyjemnej sceny. Poczciwa staruszka, wcale o tём zapomniała, bo ani słówkiem nie trąciła tego przedmiotu.

Po południu przybył do choręj zacny nasz sąsiad pan August. Między innemi opowiedział nam także, że przed kilkoma dniami zwiedził pracownię przebywającego tutaj artysty, który jest naszym ziomkiem. Nabył nawet jeden z jego obrazów, jeśli się nie mylę, kopię Rembrandta.

Pan August mówił bardzo wiele pochlebnego o tym artyście! Odmalował nam jego skromność, która zawsze idzie w parze z prawdziwym talentem.

— Dlaczegoż on do mnie nie przyjdzie?—zawołała pani marszałkowa.

— Napomknąłem mu o tём—odpowiedział pan August—że nigdzie tutaj nie spotkałem go w towarzystwach. Na to odrzekł bardzo trafnie, że tak zwani artyści dzielą się na dwie kategorye. Jedni poduczyszy się trochę, zapuszczają długie włosy i w białych rękawiczkach pukają do drzwi salonów, aby tam najbrudniejsze wycierać kąty! Inni biorą rozbrat z światem, zamykają się w pracowniach swoich i cały swój żywot dają sztuce na całopalenie!... Sztuka i poezya—mówił dalej—są to muzy, którym nie można dać pół-serca i pół-duszy!...

Gdy pan August tych słów domawiał, zrobiło mi się tak dziwnie koło serca, że tego ci opisać nie potrafię. Były to jedyne podniosłejsze słowa, które w mojem dzisiejszem towarzystwie usłyszałam!

I nie umiem ci opisać tych wszystkich myśli i marzeń moich, które mimowoli nawiązały się do tych słów rzuconych pobieżnie!

Lotna moja wyobraźnia skorzystała zaraz z tego przedmiotu i naraz wymalowała mi tysiąc obrazów. Widziałam tu w tym samym salonie tego samego człowieka, który sztuce oddał całą duszę i całe serce... który dla miłości sztuki wyrzekł się wszelkich rozkoszy i słodczy tego świata... Mówiłam z nim, zadawałam mu różne pytania, odpowiadałam na jego....

Takie obrazy przemknęły błyskawicą przez serce moje. Czułam przy tém jakąś radość niewystowioną, jakiej ci opisać nie potrafię.

W rzeczy samój jestem nadzwyczaj spragniona obcowania z wyższym umysłem. Poziomój natury rozmowy nasze już mnie na śmierć unudziły. Wyobraź sobie trawę, zieloną trawę, a nigdzie choćby najnniejszego kwiatka! Z trawy jest wprawdzie pożytek, ale jakże wyglądałby świat cały, bez kwiatów? Nie, tego sobie wyobrazić nie mogę. Może to tylko potrafić angielski fermer.

Na żądanie pani marszałkowej obiecał pan August wprowadzić go do jęj salonu. Sama myśl, że ujrzę wyższego człowieka nad Lolka i Agapina, sprawia mi dziwne dreszcze. Już mam tyle gotowych pytań dla niego! A nawet... nawet, nie śmięj się ze mnie, przygotowuję się do niektórych odpowiedzi, jeżeli mnie zapyta!

Ściskam cię po tysiąc razy!

XXV.

Styczeń.

Nowy rok jakoś płodnym jest w „drobne” zdarzenia dla mnie.

Wyobraź sobie szczególne moje położenie. Jest to wprawdzie nic „wielkie nic,” ale mimo to zawsze jest temat

do listu, który, wierzaj mi, zawsze z rozkoszą piszę do ciebie.

Wczoraj jak zwykle poszłam do pani marszałkowej. Teraz podwójną mam przyczynę pielęgnowania jęj aby jak najprędzej wyzdrowiała. Raz, że jęj zdrowia z całej duszy życzę, a powtóre, że po jęj wyzdrowieniu spodziewam się w jęj salonie obaczyć człowieka, nad którym, nie wiem sama dlaczego, sili się od wczoraj moja wyobraźnia, aby jego wizerunek sobie urobić! I zawsze przy tęg sposobności przychodzi mi przed oczy prześliczna głowa Van-Dycka.... Wierzaj mi, że za to nawet gniewam się na siebie...

Z panią marszałkową mówiłyśmy także o nim, o sztuce i literaturze. Cieszyło mnie to, że szanowna ta matrona, jakkolwiek w niektórych pojęciach nieco zacofana, zgadzała się pod tym względem z różnemi memi zdaniami.

Wierzaj mi Salciu, materya podobna do rozmowy jest dosyć drażliwa. Świat jest okrutny. On nie sądzi człowieka według kierunku drogi, jaką sobie tenże obrał, ale według realnych rezultatów!

Gdyśmy się już do syta z panią marszałkową nagadali, rzekła do mnie:

— Wiesz Jociu, trzeba z każdego nieszczęścia naszego korzystać. Jestem chorą, a chociaż jest mi już nieco lepiej, to jednak nie uwalnia krewnych od obowiązku odwiedzenia mnie. Między innemi życzyłabym sobie, aby mój kuzyn z Paryża mnie odwiedził. Jest to poczciwy człowiek, ale póki się nie dowie, że jestem mocno chora, to nie przyjedzie do mnie!

— Możeby list napisać—odpowiedziałam.

— Nie, trzebaby użyć silniejszego środka!—po krótkim namyśle zauważyła marszałkowa.

— Jakiegoż np.?—zapytałam.

— Trzeba wysłać telegram!—rzekła staruszka—ale ja go nie ułożę. Może miie drogie dziecię wyręczyysz?

Wzięłam pióro i ćwiartkę papieru.

— Cóż mam pisać—zapytałam.

Ułoż telegram jak chcesz, niech tylko jak najprędzej przyjedzie. Jest to mój siostrzeniec. Adresuj: Paryż.

Pomyślałam chwilę i zapisałam:

„W słabości mojej czuję się osamotnioną. Pragnę cię ujrzeć jak najprędzej. Z tęsknotą oczekuję cię!”

Napisawszy te słowa przeczytałam je głośno. Nie wiem dlaczego szkarłatny rumieniec wystąpił mi na twarz. Przeleżałam się i zawstydyłam własnego głosu. Zapomniałam że to ma być telegram od stryjenki...

— Jakie imię mam dopisać?—zapytałam zakrywając twarz rękoma.

— Alfred***— odpowiedziała z dziwnym uśmiechem pani marszałkowa.

Napisawszy to imię odsunęłam szybko papier od siebie, aby mnie kto nie posądził, że to odemnie ta stylizacya wychodzi!...

Przyznam się, że i to drobne zdarzenie dziwnie mnie zaniepokoiło!

Nie przestawaj mnie kochać!

XXVI.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Genewa. styczeń.

Od kilku dni siedzę przy łóżku brata. Sprowadziłem go do Genewy. Rana nie jest tak niebezpieczną jak zrazu sądzono. Kula nie uszkodziła nigdzie kości. Gorączka już przeminęła i tylko potrzeba kilku tygodni czasu, aby rana zupełnie się zagoiła. Wacław jest w dobrym humorze i układa sobie plany do nowych wypraw po szczęście.

Patrząc na niego i słuchając go, sam nie wiem, czy mu zazdrościć czy litować się nad nim. Ma tak dziwne i odrębne wyobrażenia o ludzkim społeczeństwie a w szczególności o naszym, że nie mogę dwóch słów z nim pomówić, abyśmy się nie posprzecziali. A do tych szczególnych wyobrażeń przyszedł tylko przez wstręt do pracy.

Według niego moralność świata jest żadną. Plebiscit opinii publicznej jest tak chwiejny, że każdy może go na swoją stronę przeciągnąć, byle tylko miał spryt po temu. Każdego człowieka uważa za aktora, któremu w każdym

razie wolno jest użyć różu i bielidła i wolno całą postać swoją do wymaganiej roli scharakteryzować.

Gdyby świat był w istocie takim, jakim go mój brat widzi, to nie wiem, czyby mnie nie napadła żądza samobójstwa. Cóż bowiem może nas wiązać do życia, które nam wznioślejszych uczuć nie daje?

Mam obowiązek przed tobą z wszystkiego się zwierzyć. Brat mój zastrasza mnie swoim upadkiem. Wszystko jest w nim zniszczone, zgangrenowane. Podowiadawałem się tutaj jeszcze więcej takich rzeczy, jakich nawet powtarzać nie chcę. Napomknę ci tylko, że w teorii swojej uważa rzeczy za pozwolone, które już w zakres paragrafów kodexu wchodzą. A cóż dopiero mówić o moralności dodatniej?

A z tém wszystkim ma taką pewność, taką wiarę w siebie, że mową swoją wprawia mnie w najwyższe zadziwienie. Gdybym przy moich wyobrażeniach i w moim kierunku miał choć milionową częśćkę téj odwagi, to mógłbym góry przenosić z miejsca na miejsce.

Najlepiej scharakteryzuję go jedną jego rozmową. Mówiliśmy o naszym położeniu, o naszej przyszłości. A mówiłem o tem naumyślnie, aby mu jego nędzę moralną, spowodowaną przez próżniactwo, przed oczy przedłożyć. Mniemałem bowiem, że tym sposobem prędzej da się dźwignąć z swego upadku.

Tymczasem wcale niespodziewany zwrot nastąpił w naszej rozmowie.

Po długim milczeniu, z którego wnosilem że serce ma już mojemi przedstawieniami skruszone, ozwał się nagle:

— Wiész Stefanie, z tego co mi opowiadasz, to rzeczy fatalnie stoją. Nie słuchałeś mnie i poszedłeś drogą, jaką ludzie rozsądni nigdy nie chodzą. Sztuka u nas nie daje ani chleba ani zaszczytów... Żle się stało, cóż robić! Ale trzeba jakoś to naprawić. Pomyślę o tém, gdy wyzdrowieję. Przyjadę do Drezna, i tam z moich wyrobionych stosunków może i dla ciebie jaka korzyść się okroi. Twoją dzisiejszą pomoc, będę się starał moją pozycją i memi stosunkami wynagrodzić. Jużciż ratować się trzeba!

Pozwolisz że na tém zakończę list dzisiejszy!

XXVII.

Genewa.

Opiszę ci szczególne zdarzenie. Wacława umieściłem w prywatném mieszkaniu na przedmieściu Genewy. Mały pokój wynająłem od jednego z podrzędnych zegarmistrzów. Zaczny ten sztukmistrz, jak się sam nazywa, poświęcił się nader skromnej pracy. Nie chce konkurować z Patkiem, któremu odstąpił wszystkie emaliowane i brylantami wysadzane chronometry. Skupuje z tutejszych wsi okolicznych najlichsze kilkofrankowe wyroby i umieszcza je dosyć sprytnie, w pejsach!

W tym celu ma stosunki między terminatorami u pokojowych malarzy, którzy mu po kilka franków malują na wielkiem płótnie starożytne zamki z wieżami, wiszące zazwyczaj nad urwiskiem skały z wodą poniżej. Na jednej z tych wieżyc starożytnych przytwierdza mały cyferblat, a za nim ukrywa zegarek nowożytny.

Inne jego zegary mają więcej skomplikowany mechanizm. Obraz przedstawia wnętrze hamerni. Przez okno widać wieżę z zegarem. Gdy godzina bije, robotnicy w hamerni poruszają młoty i kuja rozpalone żelazo.

Produkuje téż i inne podobne zabawki dla dzieci, w których maszynerya zegarowa główną odgrywa rolę.

W kilka dni po mojem przybyciu wybiegłem trochę w okolicę, aby jakie studyum z natury zrobić.

Na drugi dzień przybył do nas gospodarz z fajką w ustach i z małą czapeczką na głowie. Pocziwa twarz jego uśmiechała się do mnie już w progu.

— Słyszałem, żeś pan malarz z professyi — zagadnął do mnie — chciałbym obaczyć coś pan namalował. Mam jako szwajcar prawo do tego. Nasz kraj posiada skarby dla sztuki. Ale cóż z tego, cudzoziemcy przychodzą do nas, wykradają nam nasze piękne widoki i odchodzą sobie z Panem Bogiem! Podobni jesteśmy do nieszczęśliwego małżonka który ma bardzo piękną żonę. Żona pięknością swoją cały świat uszczęśliwia, mąż tylko ma kłopoty. Tak samo i my. Kilku Anglików pochwaliło wodospad za najbliższą wioską,

a już rada miasta uchwaliła, aby tam drogę nową usypać!
I dawaj teraz pieniędzy na to!

Podobał mi się ten prostoduszny dowcip Szwajcara. Odpowiedziałem mu, że prawa jego do gór Helwecyi uznaję w zupełności, a nawet gotów jestem za przyjemność kopjowania téj olbrzymiej przyrody wypłacić mu się jakim szkicem.

— Za obiecany obrazek bardzo dziękuję. Wynagrodzę to pańskiemu bratu. Tylko postawię jedną prośbę....

— Jaką prośbę?

— Aby na tym obrazku była w środku mała wieżyczka o frontowej ścianie, przynajmniej na dwa cale.

Uśmiełem się z pocziwego Szwajcara, który sztukę w tak korzystny dla siebie sposób pojmował i obiecałem jego żądaniu zadość uczynić.

I zaraz na drugi dzień, z okna naszego mieszkania, podczas gdy mój brat zasypiał sobie, rzuciłem na płótno część widoku miasta. Na przodzie kawałek rozwalonego muru, ocienionego kilkoma drzewami, za nimi misternie ugrupowane dachy a po nad nimi wieża kościoła na tle obłoków oświeconych dalekim pożarem.

Za kilka godzin był szkic gotowy. Przywołałem gospodarza i okazałem mu robotę. Gospodarz wpatrywał się długo, przechodził z jednej nogi na drugą, uareszcie smoknął i schwycił mnie za rękę.

— Panie—rzekł do mnie z zapałem—pan masz skarby w swoich palcach! Gdybyś zechciał...

Nie dokończył zdania, tylko serdecznie mnie ucałował. Potém pobiegł do siebie i zawołał na córkę.

Weszła do izby młoda, dosyć ładna dziewczyna z nośkiem nieco do góry zadartym.

Gdy obaczyła obraz, klasnęła w dłonie, a obkoliwszy mnie swoim niebieskim okiem, zawołała:

— Ach to precudnie! Udałeś pan wybornie! Z tego samego okna widziałam na własne oczy!

— Cóż widziałaś pani?—zapytałem z niejakiem zdziwieniem.

— Jak się kupiec Röttli palił!

— Ja przecież tego pożaru nie widziałem!

— Jakto? Nie widziałeś pan? — odrzekła z zadziwieniem. Jakże pan to mógł namalować?

— Dla lepszego efektu — odpowiedziałem z uśmiechem — stworzyłem tam sobie pożar!

Szwajcarka patrzała chwilę na mnie w milczeniu. Obeszła mnie okiem na około i — zarumieniała się.

— To pan umiesz stwarzać rzeczy, któreś nie widział! — wyszepnęła z cicha i umknęła z pokoju.

Szwajcar stał jeszcze nie jaki czas przy mnie admirując obraz. Potém uściśkał mnie jeszcze raz i odszedł.

Popołudniu widziałem Szwajcara jak chodził przed gankiem zamyślony. Zazwyczaj przepędzał ten czas w szynku „pod złotą gęsią.” Dzisiaj był jakoś w wyjątkowym humorze.

Nazajutrz rano wszedł do nas z miną uroczystą i prosił mnie abym z nim zjadł obiadek, sporządzony własną ręką „Mimili” (Maryi).

Około pierwszej poszedłem na ten obiad. Potrawy były proste ale smaczne. Przy każdej potrawie powtarzał gospodarz, że to ręka „Mimili” także arcydzieła stwarzać umie.

Mimili siedziała także z nami przy stole, chociaż od czasu do czasu często do kuchni zaglądała. Patrzała na mnie ciekawie przy każdej potrawie jak mi smakuje. Jój oczy jaśniały radością, gdy widziała, że z jakiej potrawy brał dwa razy.

Po obiedzie rzekł do mnie Szwajcar:

— Jeżeli panu dobrze u nas, to zostań z nami!

Na te słowa wyszła Mimili natychmiast do kuchni.

— Poświęcam się sztuce jak pan widzisz — odrzekłem — a dla niej potrzebuję szerszego świata!

Na te słowa posmutniał Szwajcar. Pomyśliwszy trochę ozwał się do mnie:

— Sztuka, mój panie, to jest jak morze. Przy samym brzegu znajdziesz korale, konchy z perłami, w najgorszym razie miliony ślimaków i innych smacznych specyałów. A gdy się puszczysz na sam środek, to masz tam tylko same głębie, w których zginąć możesz!... Na takich obrazkach, jak wczoraj wymalowałeś zrobisz majątek, gdy zechcesz pójść wyżej, możesz umrzeć z głodu.

Uśmiechnąłem się na to pojęcie sztuki, jednak wiele, bardzo wiele dało mi ono do myślenia!...

Szwajcar mówił nader praktycznie!

XXVIII.

Genewa.

Dziś rano, okazywał Wacław jakiś niepokój. Kazał sobie podać kalendarz i długi czas w nim czytał. Na zapytanie moje odpowiedział mi, że od kilku dni oczekuje z Paryża pieniędzy.

Okazałem mu niejako moje zdziwienie. Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć, zkad wzięłby się w Paryżu taki dobrodziej, któryby o nim pamiętać raczył. Znałem bowiem z reputacyi towarzystwo Wacława, i wiedziałem, że żaden z nich nie byłby się zdobył na czyn taki chrześcijański.

— Z jakiegoż źródła spodziewasz się tych pieniędzy? — zapytałem wreszcie mimowoli.

Wacław spojrział na mnie z pewnym niepokojem. Pomilczał chwilę i odrzekł:

— Jest to dawny dług honorowy, który mi zwolna spłaca mój znajomy!

Jeszcze nie miałem czasu pomyśleć nad tym długiem honorowym pomiędzy ludźmi wątpliwego honoru, kiedy w sieniach wymówiono głośno nazwisko brata mego.

Do pokoju wszedł mężczyzna po podróżnemu ubrany. Spostrzegłszy mnie, wlepił we mnie oczy i milczał chwilę.

— Jak się masz Alfredzie — zawołał Wacław z łóżka — o wilku mowa a wilk idzie!

Na te słowa nieznajomy znowu wlepił we mnie przenikliwe swoje oczy, które miały wyraz bardzo nie miły.

— To mój brat! — ozwał się Wacław uspakajając nieznajomego — a to pan Alfred*** mój przyjaciel.

Nieznajomy uśmiechnął się słodko jak człowiek światowy i cała jego postać, przed chwilą otoczona jakąś przykrą atmosferą, rozjaśniła się teraz i ułożyła w nader słodkiego człowieka.

Podał mi rękę, którą uściśnąłem z jakimś nie miłym uczuciem już dlatego, że należał do towarzystwa Wacława, o którym z najlepszych jego opowiadań powziąłem jak najgorsze wyobrażenie.

Tymczasem usiadł pan Alfred około łóżka i rozpoczęła się rozmowa.

Najprzód mówił mu, że przed tygodniem odebrał list jego ale nie odpisywał, bo mając podróż przed sobą przez Genewę, wołał ten interes osobiscie załatwić i przyjaciela uściskać.

Wacław podał mu dwa palce, których pan Alfred również dwoma palcami się dotknął. Na tém skończył się ten uścisk przyjacielski, po który pan Alfred z Paryża przyjechał. Obaj jednak byli z siebie zadowoleni.

Mówiono wiele o rzeczach zwyczajnych. Wypytywano się o wzajemnych znajomych i o ich przygodach.

Nasłuchałem się wiele niesmacznych rzeczy. A były one tém niesmaczniejsze, że o nich mówiono z wielkim cynizmem.

Dziwne bowiem wyobrażenia mają niektórzy o człowieku. Ponieważ w gabinecie anatomicznym umiejętność okazuje nam człowieka odartego ze skóry, na którym widzimy wszystkie żyły i nerwy, dlatego chcą niektórzy takiego samego człowieka widzieć w życiu i w towarzystwie. O innym piękniejszym człowieku nie mają najmniejszego wyobrażenia. A nawet śmiesz ich to, jeżeli kto inaczej widzi.

Ma to być według niektórych owoc nowego realistycznego kierunku, jaki nawet w ostatnich czasach odbił się w literaturze zachodniej. Uchowaj nas jednak Boże od takiego realizmu!

Ponieważ rozmowa między Wacławem a nowo przybyłym jego przyjacielem tyczyła się często spraw mnie zupełnie obcych, które przeto dla mnie nawet zrozumiałemi nie były; poświęciłem więc ten czas na bliższe przypatrzenie się naszemu gościowi.

Był to mężczyzna około lat trzydziestu. Rysy jego były dosyć regularne, ale nie miały żadnego wyższego wyrazu. Ciemno blond włosy, starannie ułożone okazywały, że stały ustawicznie pod opieką zdolnego fryzjera. Jaśniejszego koloru faworyty rozczesane z angielska opierały się na wysokim kołnierzu. Oczy modre okazywały wiele przebytych wzruszeń namiętnych. Dziś były już przygaste i zamykały się z pewną ociężałością. Pod niemi na twarzy czerwieniły się dwie podłużne plamki, ślady sztucznych emocyi.

Twarz tego człowieka nie była przeto ani piękną ani ujmującą. Gdyby ją kto od reszty tułowa odkroił i na sto-

liku rysunkowym za model jakiemu uczniowi położył, można by się zapytać, dlaczego tak nijaką, a nawet wcale nie ładną twarz na model wybrano? Połączona jednak z resztą ciała sprawiała pewne przychylniejsze wrażenie. Znamionowała człowieka nadzwyczaj ogładzonego, który tak pod względem fizycznym jak i moralnym oswoił się w wysokim stopniu z wymaganiami towarzystwa. Ruchy jego były nadzwyczaj swobodne a tém samém i wdzięczne. Umiał w nie wlać pewną słodycz, jeśli tego potrzeba było, umiał także nacechować je pewną wyższością swojej pozycji towarzyskiej.

Mimo to wszystko miał ten człowiek dla mnie coś wstrętnego. Jakaś nieczysta atmosfera otaczała go; w składnych ruchach jego było coś kociego. Jeżeli mnie przecucie moje nie myli, w małym tym napozór człowieku zwinięty jest wielki niegodziwiec, któremu tylko sposobności nie stało, aby skrzydła swoje nietoperzowe rozwinąć i ostre pazury z rąk powypuszczać.

Po godzinie zaczęła rozmowa słabnąć. Z niepokoju Wacława poznałem, że mu do poufniejszych wynurzeń zawadza. Przypominałam sobie o pieniądzach oczekiwanych.

Wyszedłem więc na chwilę na ganek, a gdy wróciłem ujrzałem rozradowane oblicze Wacława a w niejakiej oddali kilka zwiniętych, leżących na stole sto-frankówek.

Pan Alfred opowiadał o dalszych celach swojej podróży. Miał czas niejaki zatrzymać się w Wiedniu a ztamtąd pojechać do Drezna, gdzie jego stryjenka pani marszałkowa chora leżała.

Na tém skończyła się wizyta pana Alfreda. Dowiedziawszy się że w Dreźnie mieszkam, obiecał mi odwiedzić i przy téj sposobności wiele grzeczności mi powiedział. Z Wacławem pożegnał się serdecznie.

Gdy już z pokoju był wyszedł, Wacław patrzył jeszcze na drzwi z dziwnym uśmiechem ironicznym.

Zapytałem Wacława o znaczenie tego uśmiechu. Odrzekł mi:

— Otóż tak ucz się żyć na świecie jak ja, a nie będzie ci nic do saméj śmierci!

— Nie rozumiem cię — odpowiedziałem.

Wacław mimo rany podniósł się w łóżku w jakiejś przyjemnej emacyi i odparł:

— Widziałeś nas obu! — Ściskaliśmy się i całowali jak bracia rodzeni! A jednak ten człowiek, gdyby tylko mógł, toby utopił mnie w łyżce wody! Ja zaś nie topiłbym go, bo mi jest potrzebny, ale pogardzam nim!

— Zkądże jednak to dziwne przywiązanie do ciebie?

— Bo go mam w rękach! — odparł śmiejąc się Wacław i licząc sto frankówki.

Więcej o pauu Alfredzie z Wacławem nie mówiłem. Raz chciałem coś bliższego się dowiedzieć, ale Wacław unika tego. Zapewnie ograli kogo w karty w sposób nie bardzo honorowy.

Rana Wacława zagaja się. Za kilka dni będę mógł powrócić do Drezna. Rozpocząłem kopię Tytiana: Chrystus i Faryzeusz z srebrnikiem. Tęsknę do tego dziwnego, boskiego oblicza!

A w sekrecie przyznaję ci się, że również tęsknę do tych pięknych oczu mego.... modelu!

Czy go znajduję? I jak go znajduję? Marzyłem wiele, bardzo wiele o nim!

XXIX.

SIOSTRA DO SIOSTRY.

Drezno, — styczeń.

Zrobiliśmy, dzięki Bogu, jeden krok naprzód w sprawie naszej. Pan Alfred już niezawodnie przyjedzie tutaj. Jowita nic jeszcze o tém nie wie, chociaż przez dziwny zbieg okoliczności, sama układała do niego telegram! To było arcydzieło przypadku. Trudno bowiem pomówić o to panią marszałkową.

Wyobraź sobie, marszałkowa była słabą. Byliśmy u niej z Jowitą. W jej sypialnej komnacie wisi portret Alfreda. Jowicie coś nie podobało się w tym portrecie i wymówiła się o nim bardzo niekorzystnie. Wprawiło to nas obiedwie w niemały kłopot. Marszałkowa widocznie była zmartwioną. Ale puściliśmy to mimo uszu, a Jowita w kilka minut zapomniała o wszystkim.

Na drugi dzień gdy była przy marszałkowej, sama ofiarowała się, że do krewnych jój napisze, jeśli tego wymaga. Marszałkowa kazała jój tylko złożyć telegram do Alfreda. Jowita rozumie się nie wie jeszcze kto jest ten Alfred, i wcale o nim w téj chwili nie myśli.

Jest ona jeszcze strasznie dzika jak na salon. Nie ma-
ło mam z nią kłopotu. Muszę czuwać nad każdym jój kro-
kiem. Jestto nie małą winą z twój strony, że tak późno
pozwoliłaś jój w świat wystąpić. Nie umiē się wcale do
świata zastosować. Chce aby cały świat według niē się
stosował. Ale mam nadzieję, że przykład i nauka wpłyną
na nią.

Niebawem może coś lepszego ci doniosę. Na zakoń-
czenie jeszcze wspomnę ci o jednēj rzeczy, która jakkolwiek
nie nieznacząca, jednak w piērszēj chwili dawała mi nieco
do myślenia.

Od kilku dni jakaś dziwna fantazyja opanowała Jowitę.
Wyciąga mnie z sobą pomimo mrozu na „brülowską terasę”
i ztamtąd całemi godzinami patrzy na Elbę. Jest smutna
i zamyślona. Staje zawsze w jednēm miejscu przy murze
i od czasu do czasu z uwagą ogląda się wkoło siebie. Gdy-
bym nie wiedziała, że to jest tylko jeden z jój kaprysów,
mogłabym ją posądzać, że tu kogo oczekuje. Ale pod tym
względem jestem zupełnie spokojną. Jój serce jest jeszcze
jak biała karta papieru.

Spodziewam się, że wkrótce tam coś się zapisze!

XXX.

Styczeń.

Za twoje rady, kochana siostró, jestem ci wdzięczną.
Już z moich listów możesz wnosić, jak troskliwie czuwam
nad Jowitą, jeśli piszę ci o wszystkiē, co ją dotyczyć może.

Oto opowiem ci ciekawą rozmowę, jaką słyszałam mię-
dzy nią a pocziwą Natalką.

Wiesz że Natalka jest nader sprytna i rozumna panien-
ka. Mówią o niēj tutaj, że gdyby proch nie był wynalezio-
ny, toby niezawodnie ona go wynalazła.

Otóż Natalka ma już narzeczonego. Nie jest to wprawdzie człowiek, o jakim panna na pensyi marzy, ale partya jest świetna. Nasza młodzież nazywa go idyotą i jak się pan Nereusz wyraża: „koronnym głupcem,” ale to się mówi więcej z zazdrości. Mój Boże, któryż z nich jest mądry?

Natalka przyszła wczoraj po obiedzie do Jowity. Jowita przyjęła ją z czołem nachmurzoném, z którym jak wiesz, precudownie wygląda.

Zaraz na wstępie rzekła do niéj:

— Poznałam twego narzeczonego. — Powiedz mi Natalko, czy ty go kochasz?

Natalka trochę się zmieszała. Pomyślała chwilę i odparła:

— A jużci kocham go, jeśli jest moim narzeczonym!

— Spodziewam się, że serce twoje bez pewnego oporu tego słowa nie wyrzekło!

— Mylisz się.—Mówię to, co czuję. Dlaczegoż miała-bym być nie szczerą?

— Do pewnego czasu żadna z nas nie przyznaje się, że jest nieszczęśliwą!

— Wybrałam sama, a nawet przyznam ci się, że w tym celu z mamą dwa razy do Ostendy jeździliśmy! Cóż ty na to powiesz?

Jowita na to nic nie odpowiedziała, tylko z zadziwieniem spojrzała na mówiącą. Rozśmiała się Natalka i rzekła:

— Widzę moja droga, że ty marzysz o sielankach i czytujesz sentymentalną powieść o kochankach nad brzegami Dniestru. Wszystko to piękne i dobre, ale takie excentryczne uczucie to chwila, a my wybieramy na całe życie!

— Właśnie dlatego, że wybieramy na całe życie! — odpowiedziała Jowita z deklamacją.

— A z czegoż przeważnie składa się to całe życie nasze? — zagadnęła zęcinnie Natalka. Oto gdybyśmy urodziły się w niższych warstwach, życie to składałoby się z pracy i różnych drobnych kłopotów. Wtedy przyłączyłybyśmy tę pracę naszą do pracy jakiego pocziwego człowieka i miałybyśmy szczęście jakie takie. Ale *nasze* życie nie składa się z zarobkowej pracy, tylko z mnóstwa drobnych a ko-

niecznych fraszek, które nic nie przynoszą, a wiele pieniędzy kosztują. Tak jest, i tego dotąd nikt nie zmienił.... O cóż więc chodzi? O to, aby na te nieuniknione fraszki mieć pieniądze. Głupcy powiadają, że my za pieniądze się sprzedajemy, a my właściwie tylko tego wymagamy, aby się utrzymać w koniecznych warunkach przeznaczonego nam życia.... Mój Boże! świat tak długo już stoi, a przecież żaden mądry człowiek tego naszego życia nam nie zmienił! Możeby nam lepiej było, nie przeczę, ale że tak nie jest, to trzeba się stosować!

— Mówisz z taką rezygnacją jak Turek!

— Powiedz mi sama, czy możesz wyobrazić sobie księżną bez karety i służby w galonach? Czy widziałaś kiedy jedną z naszych hrabin, któraby nie miała choćby małego powoziku, albo o niego ustawicznie mężowi głowy nie kłopotowała? Czy znasz wreszcie choć jedną pocziwą kobietę, któraby co roku nie chciała mieć nowego kapelusza i kostiumu ostatniej mody?.. A cóż mówić o herbatach, rautach, teatrze i wycieczkach za granicę?... Otóż to są konieczne fraszki naszego życia, a dopokąd one nami rządzić będą, to my na nie będziemy potrzebować pieniędzy i często- kroć według nich będziemy wybierać sobie towarzyszków życia!

— Natalko! Co też ty mówisz!

— Położenie babki mojej jest ci znane. Ja nie mam nic. Trzeba więc naszą pozycję czémś ratować. Przebierać zaś nie ma w czém, bo nasze kółko jest bardzo ograniczone; więc nie dziw się, że wybrałam człowieka, który majątkiem swoim naszą pozycję podtrzymać może!

— A cóż na to serce?

— Serce... serce — powtórzyła z goryczą Natalka — kobieta na naszym stanowisku a bez majątku, nie powinna mieć serca! Ty w twojem położeniu możesz według serca wybierać i bawić się sentymentalizmem!

— Nie wiem -- zawołała Jowita, — czy tego nie mówisz z ironią, ale pójdź, niech cię za to ucałuję! Pozwalasz mi bowiem osiągnąć jedyne szczęście moje!

Z tego możesz wnosić, jak ostrożnie trzeba z Jowitą postępować, aby ją tam zawieźć, gdzie ją dla jój dobra mieć pragniemy.

XXXI.

STEFAN DO NIEZNAJOMEGO.

Drezno.

Jeżeli serce czyje zdolne do wzruszeń idealnych, czuje się smutkiem przygnębione, zawadami życia poranione, najskuteczniejszém wtedy dla niego lekarstwem, są owe nie wyczerpane skarby, jakich dostarcza kraina sztuki. To co sam duch stworzył, wchodzi jakby było nasze do duszy naszej i zapełnia rozkosznie jęj czechość, która mogłaby nas zawieść do rozpaczyl

Mówię tu o arcydziełach sztuki. Zaiste, przechodząc koło Rafaela, Murilla, Titiana, Rubensa i innych ich towarzyszów, zdaje mi się że kroczę opromieniony jasnym, pogodnym słońcem nieba, które wszystkie fibry moje pubudza do nowego życia!...

Podobnego wrażenia doznaję w każdej wielkiej galeryi obrazów. Pokrzepiają one w dziwny sposób upadające siły moje i wychodzę z nich z takim uczuciem, z jakim wśród skwarne go lata wychodzi się z przejrzystej, ochładzającej kąpieli.

Nie ubliżając mistrzom zamieszkałym w Luwrze, w Wersalu, w Rzymie i Florencyi, mieszkańcy tutejszej galeryi są dla mnie jakoś szczególnie łaskawi. Być może, że moje dzisiejsze usposobienie wiąże mnie do miejsc tutejszych. Może ono to sprawia, że *Madonna di san Sisto* z takim dziwnym urokiem patrzy na mnie, że Muryłowska Bogarodzica wodzi za mną wzrokiem pełnym przeczucia o ostatecznym ziemskim losie tego dziecięcia, które na rękach macierzyńskich trzyma. Może dlatego dziwny dreszcz mnie przechodzi, gdy patrzę w te duże, okrągłe oczy „Maryi Egipcjanki”, w które Ribeina wlał tyle strasznej, okropnej może ostatniej prośby do Boga, na którą aż z nieba Anioł wyjść musiał, aby biedną pokutnicę szatą otulić!...

Zresztą samo ustronie tej świątyni sztuki dziwnie jakoś umysł nastraja. Powietrze „Zwingera” jest jakoś tak ciche, jakby żadna żywsza fala nie poruszała go. Wkoło niego nie widzisz tego gwarne go życia, tego wiecznie rusza-

jącego się natłoku, tego powszedniego obrazu tysiąca twarzy zarumienionych staraniem na życie codzienne, jaki zazwyczaj otacza mury Luwru lub inne zbiory sztuki.

Cicho tu i spokojnie. Nawet ten Sas milczący, leniwym postępujący krokiem, nie przerwie ci żadnym żywszym ruchem owego głębokiego wrażenia, jakiego tutaj doznajesz!...

W tej atmosferze spędzam teraz dni całe. A gdy usłyszę dźwięk kluczy, wychodzę z westchnieniem i dążę na „terasę brülowską”, która po galerii pierwsze teraz u mnie miejsce trzyma!...

XXXII.

Luty.

W jednym z ostatnich listów mówiłem ci, że nie zadowolony z moich prac dotychczasowych, powyrzucałem wszystkim szkice moje i porozpoczynane roboty, aby wkoło siebie pewną próżnię stworzyć.

Otóż stworzyłem rzeczywiście tę próżnię. Podobny jestem do małego chłopca, który robiąc jakiś zawiły rachunek, całą tabliczkę spisał. Czegoś mu jednak w rachunku niedostawało. Poprawiał, kreślił i dopisywał, ale rachunek nie udawał się. Szukał między cyframi błędu, ale znaleźć go nie mógł. W ostatecznej rozpaczy chwycił za gąbkę i całą tablicę na czysto zmasał, aby rozpocząć na nowo. Otóż i ja zmasałem moją tablicę i czekam jakiegoś lepszego natchnienia. Kiedy ono przyjdzie, i czy przyjdzie kiedy? Nie wiem, a strach mnie bierze nawet pytać o to.

Próżnię tę jednak, czy raczej próżnowanie mojej wyobraźni muszę czemś wypełnić. Oto chodzę do galerii i kopiuję sobie niektóre głowy i grupy, chcąc koniecznie zejść tych wielkich mistrzów przy ich tajemnicach, jakim sposobem mogli oni takie arcydzieła stwarzać.

Widzę jak przy tych słowach śmiejesz się ze mnie. Słyszysz jak mówisz: Tajemnic geniuszów nie szukaj na martwym płótnie z cyrkiem w ręku, ale szukaj ich w duszy i we własném sercu!... Geniusz, to rezultat życia.

Powiedz mi mój drogi, co z tém życiem zrobić, aby za nie choć jedną isierkę tego twórczego światła kupić?..

Widzisz, jak dziwne nachodzą mnie myśli. A to ztąd pochodzi, że prostą pracę wziął na twórczość? Czegóż téj pracy niedostaje, aby była twórczą?...

Ale wracam do galeryi. Mówiłem ci, że czas moich wakacyi duchowych przepędzam kopiowaniem.

Niektórzy, jak teraz poznaję, zbyt mało cenią kopistę. Zdaje mi się, że wyrządzają mu wielką niesłusznosc. Kopiarstwo to znaczy odtwarzać to, co mistrz stworzył. Kopista powinien wtajemniczyć się w to wszystko, co myślał i czuł mistrz, gdy ten obraz tworzył. Powierzchnowe podobieństwo obrazu nie jest jeszcze kopią.

Tak to zawsze bywa w życiu, że czego sami nie spróbujemy, to zazwyczaj mało cenimy. Przyznam ci się, że kopista był przedtém u mnie nader małym stworzeniem, a dzisiaj widzę, że czyniłem mu krzywdę. Dobry kopista to artysta blizki mistrza. Pomysł tylko dzieli jednego od drugiego.

Jeżeli twierdzenie moje nie będzie zaśniałe, tobym powiedział, że dobry kopista w stosunku do mistrza jest tém, czém dobry exekutor w muzyce do kompozytora.

Nie myśl jednak, abym dla siebie jako kopisty chciał zawindykować lepszą sławę, jaką dotąd mają. Kopistą nie chcę być, w duszy mojej szukam twórczości. Jeżeli jęj nie znajdę, pójdę do Genewy....

Tymczasem kopuję Titiana: „Grosz podatkowy“.

XXXIII.

Luty.

Nie mogę w żaden sposób pozbyć się jednéj myśli. Pomysł mój: „przed sądem Nerona“ prześladowa mnie ustawicznie. Jakaś mglista postać z majestatem na czole chodzi za mną ustawicznie i wymawia owe straszne dla niej słowa: Jestem wiary Chrystusowej!

A wiész kto jest ta postać?

Jest to ów mój... model, o którym pisałem ci w przeszłych listach!

Tak jest. Nieustannie chodzi ta postać ze mną, ale chodzi w duszy mojej. W rzeczywistości nie mogę jęj nigdzie ujrzyć. Nie wiem kto ona jest i gdzie przebywa?

Kiedy samotny w izdebce mojej o niej myślę, a dzieje się to najczęściej o szarej godzinie, wtedy przychodzi mi na myśl, czy ja ją rzeczywiście widziałem, czy to była tylko gra rozdrażnionej wyobraźni, która dziwne linie mgły zimowej wzięła za przezroczystą osłonę rzeczywistej istoty?

I wyteżam wtedy wszystkie siły wyobraźni, aby raz jeszcze odtworzyć sobie tę dziwną wizję z tych samych szczegółów, które wtedy widziałem!

I widzę ją nieraz spływającą po srebrnych promieniach księżyca z tym samym smutnym uśmiechem, z jakim wtedy patrzała na zimowy krajobraz!... Wtedy, jakby odgadła moje pragnienie, zarzuca w tył długie szaty swoje i pozuje mi jako model do mego „sądu Nerona“!... Pamięć moja chwytła prędko ten obraz precyzyjny... i zdaje mi się, że już go mam zupełnie, że potrzebuję tylko wziąć pędzel do ręki i przenieść go z duszy na płótno;... gdy tymczasem jakaś muszka, zbudzona zdradliwie ciepłem izdebki ze snu zimowego, w powietrzu metalicznym głosem swoim zabrzęczy, a model mój czarodziejski znika odemnie i bierze z sobą wszystko to, co w pamięci mojej po niej zostać chciało. Daremnie wyciągam ręce ku niej, aby ją za wiotką szatę zatrzymać przy sobie; daremnie otwieram z prośbą spragnione usta moje... ona jak zimna switezianka nic nie widzi, nic nie słucha!...

Odchodzi odemnie po tym samym promieniu księżyca, po którym się spuściła, a gdy za nią przez szyby okna zaglądam, staje mi z całą swoją gburowatością świat codzienny przed oczy i wyśmiewa mnie w raz z moim ideałem, którym tak słodko przed chwilą pieściłem się!...

Mój Boże!... Gdyby to świat wiedział, jak się każdy lepszy obraz tworzy, jak się która książka pisze! Wiele to postaci musi z wnętrza swego wysnuć każdy artysta, a każda z nich kosztuje go część życia. Wieleż z tych postaci zginie marnie, rozbiegnie się napowrót w chaos, z którego wyszły, a te co zostały i w szaty się przybrały, jakże nieudolnie wyglądają w porównaniu do tego, czém były w poczęciu?

Świat tego wszystkiego nie widzi i nie uwzględnia. On sądzi tylko podług rezultatów.

A rezultatem dzisiaj u mnie jest, że owéj mytycznej Rzymianki nie mogę „przed sądem Nerona“ postawić, bo mi się w mgłę rozplywa, gdy po nią ręką wyciągam, aby ją należycie postawić!

Taką walkę staczam codziennie z moją wyobraźnią. Rano zaś, chłodne, orzeźwiające rano mówi mi, że mój model musi żyć w rzeczywistości, że go widział memi rzeczystwami i zdrowymi oczyma, i że tylko jakiś zły duch przeszkadza mi spotkać się z nią, bodaj gdzie na herbacie u znajomych.

Przyznam się, że nawet w tym celu poodwiedzałem wszystkie znajome domy, i byłem nawet w teatrze i na koncercie w Belwederze. Nigdzie jednak ani śladu po niej.

Jednej rzeczy strasznie się obawiam!... Abym jej kiedy nie ujrzał siedzącą przed kufem piwa, z pończochą w rękul!...

XXXIV.

Luty.

Słuchaj drogi przyjacielu. Mój model żyje!

Wczoraj byłem jak zwykle w galerii. Już od dwóch tygodni będę się nad kopią Tytiana: „grosz podatkowy“.

Znasz ten obraz. Są to tylko dwa popiersia. Jedno z nich przedstawia Chrystusa, drugi podstępny żyda okazywającego Mu grosz i pytającego: ażali godzi się płacić podatek Cesarzowi?

Rzecz napozór prosta. Nie ma tam żadnej zawikłanej kompozycji, nie ma tła ani draperyi kunsztownej, nie ma szczególnego oświetlenia, zgoła nic nie ma z tych wytworzonych akcesoryów, w które sztuka tak rada się ubierać. Dwie tylko twarze, zwykle codzienne twarze, takie, jakie dopiero gdzieś widziałeś...

Ale co w tych twarzach jest!

W jednej jest Bóg! W drugiej podły człowiek!

Nie wiem, czy jest jaki drugi znakomity malarz, który tak małym szafunkiem środków stworzył tak wielki obraz!.... Tak tworzy geniusz!

Zdawało mi się z razu, że kopia tego obrazu zajmie mi zaledwie kilka dni. Dzisiaj drugi tydzień siedzę nad tą

pracą i nieraz bierze mnie ochota podrzeć płótno i pędzle połamać.

Po kilku-godzinném malowaniu zdaje mi się, żem już osiągnął cały efekt oryginału. Patrzę na moją robotę to z prawej to z lewej strony, to odchodząc to zbliżając się do niej. Serce rozkosznie bije mi w piersiach, bo widzę że między mną a Titianem, czy raczej między kopią a oryginałem prawie żadnej nie ma różnicy!

Uradowany, uśmiechnięty, śpiewający odchodzę z galeryi. Wałęsam się po mieście, pozdrawiam znajomych, a dla wszystkich mam uśmiech wewnętrznego chwilowego zadowolenia.

Tymczasem na drugi dzień, rano zmienia się scena. Przychodzę do galeryi, patrzę na mój obraz, patrzę na oryginał... jak ogromna między nimi różnica! Jeden obraz mistrza, drugi, licha kopia zrobiona przez lichego malarza! Tamten przemawia całą godnością jedną, a całą grozą drugiej twarzy; ten wyobraża dwie pospolite, na płótnie rozpłaszczone twarze!

Ty, który wtajemniczony jesteś w rozkosze i boleści tworzenia, choćby tylko naśladować wielkich mistrzów, zrozumiesz i pojdziesz moją rozpacz, która mnie za serce targa!

Po przejściu tego bolesnego paroksyzmu zaczynam znowu jak Syzyfus pracę moją na nowo. Przemaalowuję, poprawiam, wydobywam jaśniejsze światła, zagłębiaj cienie... aby znowu nazajutrz wszystko zmasać i znowu wszystko na nowo rozpocząć!

Dzisiaj jakiś szczęśliwszy dzień dla mnie zaświtał. Praca moja postępowała nader szczęśliwie. Jakoś jaśniej widziałem, jaśniej wpatrywałem się w subtelne tajemnice oryginału....

I już prawie, prawie byłem zadowolony z siebie. Twarz Chrystusa, której Titian nawet starannie nie wymodelował, tylko szeroko wymalował, miała już niejaki błyski bóstwa, które ją tak dziwnie różnią od zwykłej, człowieczej twarzy!... Już zarysowała się wkoło bladych ust ta boska pogarda nikczemności ludzkiej, która w brzydkiej postaci kusiciela z wykreconym tułowem tutaj występuje... i chciałem już krzyknąć z tryumfu, gdy nagle nastąpiła zmiana światła, a przy tej zmianie straciła twarz Chrystusa coś

z boskiego swego piętna! Coś jój jeszcze brakowało do oryginału!

Zagryzłem usta i z gniewem prawie odstąpiłem aż do przeciwnéj ściany, aby z oddalenia badać.

Znasz ten długi szereg małych sal, w którym umieszczony jest ten obraz Titiana. Znasz także tę precudną perspektywę kilkunastu drzwi postępujących po sobie w amfiladzie pokojów.

Otóż na saméj granicy téj czarodziejskiej perspektywy pojawił się teraz, mój model!

Tak jest! To ona!...

Kroczyła zwolna, z powagą królewską. Gruba, fałdzista zarzutka okrywała jój ramiona, a ciemna długa suknia wlokła się za nią, ukrywając starannie, dążący nieustannie do światła bucik miniaturowy!.... Razem z nią szła jakaś jaśniejsza, świetlana atmosfera...

Szła zwolna przez wszystkie pokoje nie oglądając wiele obrazów. Za nią postępowała starsza matrona.

Wreszcie zbliżyła się do mego obrazu....

Stałem opodal jak przykuty do ziemi. Paletę i pędzle zostawiłem przy obrazie. Mogłem więc wyglądać na zwykłego spektatora.

Nieznajoma spojrzała teraz na moją kopię. Porównywała ją czas niejaki z oryginałem.

— Ta kopia jest dobra—ozwała się po polsku—ale czegoś jój niedostaje!....

I posunęła się kilka kroków, aby w lepszym świetle oba obrazy oglądać.

Stałem czas niejaki oszołomiony. Nic prawie przed sobą nie widziałem. Nieznajoma była w téj chwili obrócona do mnie plecyma....

Odetchnąłem głęboko, nabrałem odwagi i zbliżyłem się zwolna.

W téj chwili obejrzała się nieznajoma i zapłoneęła jak szkarłat....

Szybkim ruchem ręki zarzuciła na twarz woalkę i odwróciła się znowu do obrazu.

— Przepraszam—ozwałem się, a głos mój drżał z wzruszenia—przepraszam panie, ale w cudzym kraju, ma się do ziomków inne, wyłączne prawa!

Niecznajoma odrzuciła teraz znowu woalkę i spojrzała na mnie. Szkarłatny rumieniec znikł z jęj twarzy. Była blada, mocno blada. Nie była to widocznie jęj bladosc naturalna.

Czy odgadnęła kobiecęm przeczuciem, że m o nięj długo, tak długo marzył? Czy się przeleękła obaczywszy człowieka, który w marzeniach swoich chciał nad nią zaplanować?...

— Podziwiałęmy właśnie ten obraz — ozwała się starsza w niejakięm zakłopotaniu.

— Właśnie dlatego zbliżyłem się — odparłem — słysząc tak trafne zdanie o tęg kopii.

Niecznajoma obrzuciła mnie tutaj swoim, dużęm szafirówęm okiem. Owe charakterystyczne dwie zmarszczki nad jęj brwiami, które tak coś uroczonego mają, podniosły się jeszcze wyżej, jakby chyży bieg myśli przytrzymać chciały. Wyraz jęj twarzy był czarujący...

— Mówiłam wcale niepochlebnie o tęg kopii — ozwała się z uśmiechem — zarzucałam jęj brak czegoś.

— Masz pani słusznosc — odpowiedziałem — jęj brak czegoś, a trudno to nazwać. Od godziny patrzę i nie mogę dojrzeć. Świeże oko zazwyczaj więć widzi! Chcięg pani jeszcze raz spojrzeć!

Niecznajoma spojrzała pierwęg na mnie, jakby się o coś pytać chciała, a potęni na obraz. Porównywała niejakiś czas oryginał z kopią, przyczem owe zmarszczki na czole były w ustawicznym ruchu... Po chwili znikły nagle te zmarszczki, czoło wygładziło się jasną pogodą. Z lekkięm zarumienieniem rzekła:

— Teraz wiem gdzie jest niedokładnosc. W oczach Chrystusa na oryginalu jest inny wyraz. Wyraz ten nazwałabym mieszaniną wzgardy, litości i lekceważenia. Przejrzał on bowiem podły zamiar kusiciela. Wzgardził podłością, ulitował się nad upadkiem tego kupionego człowieka, a lekcewałzył zastawione na siebie sidła!... Oczy zaś Chrystusa na kopii mają zanadto że tak powiem jednostronneo wyrazu. Niebezpieczeństwo pokusy zanadto jest silnie wyrażone jak na Boga, który przecię był wszechwiedzącym!...

Słowa te zadziwiły i uniosły mnie. Znamionowały one kobietę niezwykleo wykształcenia i duszę wrażliwą na wszelkie odcienia piękna.

Nie umiem ci opisać, com czuł pod tém wrażeniem. Obawa moja że poznam kobietę zwyczajną, powszednią, znikła odemnie, a natomiast weszła do duszy mojej jakaś radość nieopisana!...

Przed godziną byłem jeszcze od téj kobiety tak daleko, teraz, po tych słowach, zdawało mi się, że byłem jój tak bliskim... że to dawna moja znajoma!...

Nieraz zdarza się w życiu, że dwie obce osoby zejdą się razem, a rozgadawszy się poznają, że są sobie krewne i serdecznie wzajem się cieszą.

I mnie po tych słowach udało się, że nieznajoma jest mi krewną.... Ozwąłem się po chwili:

— Nadzwyczaj słusznie osądziłaś pani niedostatek kopii. Sam teraz widzę jasno....

Nieznajoma zdawała się nie słuchać moich słów. Patrzyła pełném okiem w obraz Titiana.

— Dziwne wrażenie sprawia mi ta twarz Chrystusa, rzekła napół w zamyśleniu. Niedawno czytałam książkę, która zaprzecza idealnej strony życia. Sztuce nawet odmawia idealnych kreacyj. Powiada, że to wszystko tylko dobrze dobrane modele.... Otóż ta jedna twarz Titiana może te wszystkie twierdzenia obalić. Przecież każdy przyzna, że takiej twarzy z takim wyrazem nie ma i nie było nigdy na ziemi. Titian nie mógł jój zdjąć z jakiego modelu, a on ją począł w duszy swojej, a on ją stworzył!

Wyrzekłszy to odwróciła się do mnie i spoczęła na mojej twarzy tém precudném szafirowém okiem. Chciała prawdopodobnie widzieć wrażenie, jakie te podniosłe słowa na mnie sprawiły.

— Pani nie wiesz—rzekłem z uśmiechem—na jaką ziemię rzucasz złote ziarna swoje!... Jestem owym niezdarnym kopistą tego obrazu, i dopiero przez oczy pani obaczyłem, czego mojej kopii niedostawało!...

Na to nieznajoma znowu poczerwieniała i zbladła.

— To nie było szlachetnie—wyszepnęła z cicha—stawić nam takie sidła!

— Ale za to z wielką korzyścią, dla kopii!—odpowiedziałem.

Starsza jój towarzyszka była w widocznym kłopotcie z powodu téj dziwnej, tak anormalnie prowadzonej rozmowy

między ludźmi, którzy siebie nie znali. Zdobyła się więc na jedyny możliwy pomysł przerwania téj artystowskiej debaty. Ukłoniła się i zwróciła się ku drzwiom: za jéj przykładem to samo uczyniła i młodsza.

Nie wiem com na te dwa ukłony odpowiedział, ale wiem że długo stał na miejscu, z którego widać je było niknące coraz więcej w téj złudnej perspektywie!

A gdy ostatni koniec jéj ciemnej sukni zniknął, odetchnąłem głęboko i rzekłem do siebie: Czy to prawda, że wielcy mistrzowie postacie swoje sami tworzyli, czy brali je z modelów rzeczywistych? Dlaczegoż nie mogą na ziemi żyć ludzie wybrani?...

Smutno mi, że już ten list kończyć muszę! Godzina druga po północy wybiła na zegarze, a jabym o niej chciał pisać wiecznie!...

XXXV.

Luty.

Dzisiaj rano przyszedł do mnie ów zacny obywatel z Galicyi, który moją kopię Rembrandta nabył. Rozmawialiśmy czas niejaki, wreszcie zapytał mnie, czybym nie chciał zabrać znajomości z domem, w którym zazwyczaj większe towarzystwo się zbiera. Popierał zaraz propozycję swoją potrzebą odświeżenia umysłu i pomnożenia stosunków towarzyskich.

Nie było to potrzebne. Za pierwszym jego słowem przysłała mi zaraz na myśl moja nieznajoma i nadzieja, że ją w takim towarzystwie najprędzej spotkać mogę.

Zgodziłem się więc z góry na propozycję, nim jeszcze proponujący wszystkie swoje argumenta rozwinąć zdołał, w jakie się był zaopatrzył. Zdaje się że był przygotowany na mój upór.

Umówiliśmy się o miejsce schadzki, a gdy godzina dziewiąta na zegarze zamkowym biła, wchodziliśmy właśnie do mieszkania pewnej zacnej matrony, którą powszechnie panią marszałkową nazywają.

Zastaliśmy towarzystwo już dosyć liczne. Nie wiedziałem, że w stolicy saskiej tyle moich ziomków mieszka.

Niektórych znałem już z kądinąd. Większa część, mianowicie kobiet, była mi zupełnie obcą.

Obiegłem okiem cały salon, nieznajomój mojej nie był!

Zasmuciło mnie to, ale nowość położenia nie pozwalała zajmować się teraz smutnemi myślami. Potrzeba było najprzód przemówić kilka słów do gospodyni, potem przywitać się z tym i owym znajomym, innym się przedstawić.

Przyjęto mnie jak się zwykłego gościa przyjmuje. Grzecznie, przyjaźnie, mówiono ze mną kilka chwil, wreszcie zostawiono mnie samemu sobie.

Byłem niejako kontent z tego. Mogłem swobodnie rozpatrzyć się i zdać sobie sprawę o ludziach, między którymi się znajdowałem. Być może, że kiedyś między tymi ludźmi miałem ujrzeć nieznajomą!...

Pani marszałkowa sprawiła na mnie dosyć przyjazne wrażenie. Była to matrona w podeszłym wieku z kornetem zeszkowiecznym na głowie. Miała przytem na sobie jakiś szlafrok fałdzisty. Modniarka byłaby z szyderskim uśmiechem zmierzyła ją od stóp do głowy; ale właśnie w tém lekceważeniu sztuki modniarskiej było coś, co poważnej staruszce wiele nadawało uroku. Z sędziwój jej twarzy i obwisłych fałdów kornetu można było jasno czytać, że do uświetnienia osoby swojej nie potrzebuje wiele fatałaszków świecących. Przeciwnie możnaby ją posądzić, że modnemi przyborami pogardzała z pewną ostentacją, widząc cały blask i urok w swoim starożytném nazwisku. Był to, że tak powiem rodzaj pychy, jakiej podlegają często podobne jej osoby.

Stosowna także do tego była jej rola w salonie. Nie uganiała za gośćmi swymi, nie starała się ich grupować, bawić, ustawicznie troszczyć się o nich. Siedziała nieruchomie na swoim fotelu i obecnym pozwalała grupować się koło siebie, jak im się żywie podobało. Pod tym względem miał gość zupełną wolność. A jednak, mimo téj biernej na pozór roli, tworzyła pani marszałkowa wraz z swoim starożytnym fotelem środek wszelkiej zabawy. Do niej cisnęło się wszystko, ku niej zwrócone były twarze wszystkich rozmawiających. Każdy z obecnych silił się choć kilka frazesów z nią wymienić. Potém widocznie uszczęśliwiony odchodził do grup pobocznych i ztamtąd jeszcze oglądał się od czasu

do czasu na fotel i kornet starożytny, gdzie go spotkał taki nie mały splendor!

W przyjęciu gości przedstawiała pani marszałkowa jeden z typów niknących coraz więcej z pośród nas. Widać było po jej twarzy, że o środki przyjęcia nigdy się nie troszczyła i dzisiaj się nie troszczy. Nie ma na głowie troski, czy czego nie zabraknie. To jest rzeczą służby. Ona wierzy w swoje zasoby nieprzebrane i tylko rozkazuje. Do niej to zastosować można co o królowej angielskiej mówią: *elle regne et ne gouverne pas!* Ona nawet wątpić o tém nie może aby w jej domu czegoś nie było, albo aby jej gościowi czegoś zabrakło! Nawet i wtedy nie uwierzy w brak jakich, chociaż rzeczywiście już nic nie będzie!

Wprawdzie służba takiego domu, wyższa i niższa, przychodzi z czasem do ładnych fortun, ale to nie alteruje wcale chlebowodawcy. Mówi w takim razie, że *pan* na to jest, aby biędni z niego żyli, czyto pracując przy jego zagonie, czy po prostu okradając go. Ta niczem nie zachwiana wiara w niewyczerpane zasoby pańskie jest u nas nader charakterystyczną. Wprawdzie koniec jej nader tragiczny!...

Marszałkowa rozprawiała z wielką czcią o królewskiej saskiej rodzinie. Była ona przedewszystkiem legitymistką i dlatego wołała przemieszkować w Dreźnie niżeli w innnej jakiej stolicy.

Towarzystwo salonu składało się z mieszkańców wszystkich okolic Galicyi.

Są to ludzie mniej więcej jednego kraju. Taniość życia, wygody wielkiego miasta, obok zaciszy prawie sielskiej czyni Dreźnie centralnym punktem dla tych, którzy w zimie wieś opuszczają szukając odpowiedniego dla siebie towarzystwa. To też jak Paryż, Wiedeń, Berlin celują życiem publicznem, Dreźnie żyje wyłącznie życiem domowem, ożywionem przez zebrania towarzyskie.

Matki przywożą tutaj podrosłe już nieco córki, aby po niezdarnych francuzkich guwernantkach dokończyć ich ostatecznej edukacji. Przytém młode plemię próbuje na szerszym świecie swoich zaciśniętych dotąd skrzydełek, swego rozumu, dowcipu, nabytęj nauki a potrosze i wdzięków. Przebywszy tutaj taki kurs towarzyski, łatwiej jest w rodzinnym powiecie olśnąć i zaimponować.....

Ojcowie tymczasem (jeśli nie zostali na wsi, co się najczęściej wydarza) bawią się pogadanką, ganią ciche miasto przekładając nad nie Wiedeń i Berlin, a z unudzenia zasiadają do kart!

Młodsza zaś mężka generacya ma tutaj ważne stanowisko. Jest ona ustawicznie na czatach. Śledzi każdą nowoprzybyłą pannę i dowiaduje się skrzętnie o jej posagu. Są to najczęściej ludzie, którzy gwałtem potrzebują żony z posagiem. Tłumaczą to w różny sposób. Jeden potrzebuje amelioracyi w gospodarstwie, drugi umknął przed wexlami, których termin już zapadł, nad trzecim wisi jak miecz Damoklesa, subhasta.

A wszystko to są nader skuteczne motywa wielkiego ruchu. Tymczasem strona przeciwna umie wybornie siły swoje maskować. Żyje się dosyć wystawnie, mama mówi z lekceważeniem o krociach, a ciocia półsłówkiem wspomina o testamencie stryjaszka, który jeszcze nie rozpieczętowany u rejenta spoczywa. I trafia się bohater, który po wywiedzeniu się tego wszystkiego, nastraja się sentymentalnie, przykleka i otrzymuje rękę panny. Kilka tygodni po ślubie zwierza się z rozpaczą swoim przyjaciołom, że spodziewanego posagu nie było, i że jest człowiekiem zrujnowanym! Przyjaciele jego ubolewają nad nim, wyrzucają mu lekko-myślność, a za tydzień idą w jego ślady!

Również mógłbym do tego dodać nie jeden jasny, piękny obrazek, który był owocem tutejszych towarzyskich stosunków, i wielki zaszczyt czyni idealniejszym uczuciom ludzkiego serca, ale odkładam to do innego czasu.

Studyując otaczające mnie towarzystwo, rozrywałem wprawdzie swój umysł jakąś pracą przyjemną, ale od czasu do czasu ścisnęło me serce przykre uczucie, które z ust moich wyciskało pytanie: Dlaczego jej tu nie ma?

Każdy szmer powstały między gośćmi, każde otworzenie drzwi, każde głośniejsze wymówione słowo zwracało moją uwagę i drażniło mnie nadzieją: może to ona?

Wreszcie koło godziny dziesiątej otworzyły się drzwi salonu.... i otóż ona!

Ale niestety! Spostrzegłem, że nie ja sam jeden odkryłem ten klejnot!

Byłem podobny do astronoma przed Galileuszem i Kopernikiem, który wierzył uporczywie, że słońce jest tylko dla ziemi stworzone, że tylko ją ma ogrzewać i oświecać a wkoło niej krążyć!

W téj chwili uwierzyłem z Kopernikiem, że ziemia to jeden atom w systemie słonecznym... że wkoło tego słońca krążą liczne planety i że tylko niepoczystej ziemi wolno jest trochę ogrzać się i oświecić przy tém okazałem ognisku!...

Wszystkich oczy zwróciły się na moję nieznaną, i wszystkie twarze dziwnie wypogodziły się na jój widok!

Widziałem młodzików kręcących szybko wasy na jój spotkanie, słyszałem wykrzykniki radości, że przecież raz się zjawiła! Słyszałem także, że jedni drugim dodawali żartobliwie odwagi i obiecywali zwycięstwo. Jakiś łysy jegomość objaśniał swego sąsiada co do jój posagu i wymówił na moje utrapienie dosyć znaczną cyfrę!....

Przyznasz mi, że takie rzeczy mogą najekscencyczniejszego entuzyasta ochłodzić i nastroić go elegijnie.

Kobięta, z którą w wyobraźni swojej pieściłeś się sam na sam, kazałeś jój tak łaskawie patrzeć na siebie, uśmiechać się i mówić takie precudne słowa; tę kobietę widzisz teraz otoczoną nie przebitą atmosferą licznych adoracyj, upragnioną i poszukiwaną przez tysiące szczęśliwszych od siebie śmiertelników, zagłuszoną najwyszukańszymi frazesami, i olśnioną najpiękniej brzmiącemi nazwiskami!....

Trzeba sporego szaleństwa i zarozumiałości, aby w takim położeniu cisnąć się przed oczy tryumfującej królowej, która w takim razie nic i nikogo nie widzi!....

Być może że w głębi duszy moję poczuwam się do lepszego miejsca od niejednego mego sąsiada, ale świat w którym jestem, nie widzi i nie uznaje moich fikcyjnych pretensyj. Przeciwnie, panują jeszcze wyobrażenia, że właśnie to, co za swoją zasługę uważam, poniża mnie i stawia nademną nie jednego próżniaka i niegodziwca, który zgrabnemi pozorami wszystkich oszukuje!....

Miała na sobie suknię blado-liliową z czarném ubraniem, włosy krucze *à l'antique* w wolny węzeł związane i miała jak zawsze, te prześliczne i charakterystyczne dwa fałdziki na czole i te duże, pełne, szafirowe oczy!... Za nią postępowała starsza matrona.

Od drzwi do fotelu marszałkowej przeszła rażno nie patrząc po drodze na nikogo. Uściśnęła serdecznie rękę marszałkowej i przemówiła do niej kilka słów sympatycznych.

Potém dopiero powiodła okiem po całym zgromadzeniu. Kiedy jęj oko na mnie spoczęło, czułem że krew do twarzy mi uderzyła. I jęj twarz zarumieniła się lekko. Spuściła oczy i odtąd więcej na mnie nie spojrzała. Widocznie nawet unikała tego, aby się z mojem wejrzeniem nie spotkać. Rozmawiała z swemi sąsiadkami i sąsiadami nadzwyczaj żywo, i widać było, że te rozmowy zajmowały całą jęj uwagę.

Smutno, nader smutno mi było. Odszedłem w najciemniejszy kąt salonu i pograżyłem się w nader nieprzyjemne myśli. Nie miałem nawet odwagi kazać się jęj przedstawić.

I pomyślałem sobie:

— Taki to los nie jednego naszego marzenia!

Żegnam cię!

XXXVI.

Marzec.

Kilka dni upłynęło od tego wieczora u pani marszałkowej, który uczynił mnie uboższym o jedno moje marzenie. Smutno jest być podobnym do drzewa w jesieni, które za każdym powiewem wiatru traci po liście, widząc jak ten utracony liść pod jego stopami wędnie i żółknie!

Wprawdzie gniewam się na siebie za moje dziwne, uroszczone, pretensye. Czemże była dla mnie ta kobieta od chwili, gdy ją poraz piérwszy ujrział? Oto niczém inném jak wybornym modelem do mojęj Rzymianki przed sądem Nerona! Czyż nadal tém pozostać nie może? Czyż nie wolno mi patrzeć na nią i z pamięci przelać jęj rysy na płótno? Czemuż czuję żal do nięj, jakby mnie zawiodła?

Takie pytania zadają sobie, ale one jakoś nie uspokajają mnie. Jest po za tém pytaniem coś, czego sformułować nie umiem, czy raczój nie mam odwagi. Czuję tylko, że jęj widok jest dla mnie potrzebny, że oczy jęj mają ja-

kąś dziwną elektrykę, która wszystko we mnie rozbudza i dawne siły mi wraca.

Pod tém dziwném wrażeniem wziąłem się znowu do kompozycji. Przyznam ci się, że nie poznaję sam siebie. Ręka moja biegnie sama po płótnie i zdaje mi się, że wstąpił we mnie jakiś inny, nowy człowiek, który nią kieruje! Wszelkie dawne trudności, które mnie w rozpacz wprawiały, znikają z pod mojej ręki i nie mi się nie zdaje niepodobnem. Jeden pomysł ciśnie drugi i chciałbym mieć jak Bryaryusz tysiąc ramion!...

Wszystko to jednak trwa tylko dopóty, póki jęj postać widzę zwróconą do siebie. Gdy się odemnie odwraca, pulsy moje zaczynają bić wolniej, ręka słabnie i natrafia coraz więcej na nieprzebyte trudności!

Powiedz mi mój drogi, czy może mieć kobieta taki dziwny, magnetyczny wpływ? Czyż może ona według woli przyspieszać i zatrzymywać bicie cudzego serca, wlewać w nie nowe lub odbierać mu własne jego siły? Czyż może jednem spojrzeniem z swoim rozgrzać stygnącą duszę i powołać ją na nowo do czynnego życia? Czyż może wreszcie tém samém spojrzeniem rzucić w umysł urodzajne ziarno nie zwykłych myśli i niepowszednich pomysłów? A nakoniec, czyż może to wszystko odebrać jak swoje za prostém odwróceniem się?

Wiem tylko, że dziwna rewolucya zaszła w mojej duszy. Coś weszło do niej, czego dawniej nie było.

Nie wiem, czy to listek wonnej róży, czy tylko cierń z jęj gałązki?...

Za dwa dni wypada znowu wieczorek u pani marszałkowej. Postanowiłem pójść. Wszelkie względy przemogło nieugaszone pragnienie, aby ją widzieć. Mam nadzieję, że ją obaczę. A wiesz jak się ona nazywa?

Imię ma dziwne, nie bardzo u nas zwyczajne. Nazywa się Jowita. Zrazu nie myślałem, aby ono było chrześcijańskie, ale wreszcie znalazłem je w kalendarzu katolickim. Jestto imię jęj babki, która była Włoszką. A nawet w jęj twarzy jest coś włoskiego. Osobliwie ten wyraz spotęgo-

wanego życia, który pali się w jej oczach szafirowych i przebija śniadą cerę jej twarzy. Nie ma ojca ani matki, tylko jest pod opieką ciotki swojej.

Imię jej „Jowita” nasuwa mi dziwne podobieństwo do Jowisza na rzymskim Kapitolu. Zaiste jest coś gromowładnego w tém wypukłym, namarszczoném czole, są błyskawice piorunu w tych oczach palącego się szafiru i w tym karminie ust zawsze jakimś pragnieniem spiekłych i napół otwartych!...

Czy ta błyskawica, gromy i pioruny nie staną się zagubą moich dopiero co zeszyłych marzeń?...

Pojutrzejszy wieczór okaże może więcej!

(Dalszy ciąg nastąpi).

